



Autor: Grento YTP

Prereading/korekta: Sun, RedMad

Rozdział 14 – Regresja umysłu

1

Ostatnie dni przeciekały Młodemu przez palce. Niby w Dolinie Mroku panowała napięta atmosfera, wszyscy stali się nerwowi, znacznie bardziej opryskliwi, a sprzeczki czy większe kłótnie działały się nieustannie. Ale jego to nie dotyczyło. Młody nie uczestniczył w tym całym rozgardiaszu, patrzył na to z dystansu, przyznając w duchu, że ta wojna już zaczęła zbierać swoje żniwa w obozie Wolności. A Charon jeszcze nie zaatakował. Paru stalkerów podobno dostrzegło niezidentyfikowane sylwetki ludzi krążące po Dolinie Mroku, które natychmiast się ulatniały. Mówiono, że to mroczni stalkerzy, którzy przygotowywali się do uderzenia, zajmując strategiczne pozycje. Inni natomiast uważali, że to kontrolerzy, ponieważ ostatnio widywano ich znacznie częściej. Mgła zdążyła już przepłynąć dalej, pozostawiając po sobie chłód. Chłód w środku lata. Przynajmniej widoczność się zwiększyła, a dowództwo Wolności poczuło się znacznie bardziej komfortowo. Zniknięcie mgły przyrównywali do zdjęcia opaski z oczu.

Zaczęli powracać również posłańcy, oczywiście nie wszyscy. Zajęło im to dwa dni, podczas których zmuszeni byli przedzierać się przez trudności Zony. W innych placówkach Wolności i Powinności nie było lepiej. Zapanowały chaos i dezinformacja. Obie frakcje w innych częściach strefy atakowały się nawzajem, podejrzewając siebie o zagłuszanie łączności. Ogólne wytyczne od Lokiego oraz Neighsaya zdążyły już dotrzeć do podległych im stalkerów, ale wszystko wlokło się w tak ślimaczym tempie, że jakakolwiek organizacja nie wchodziła w grę. Przekazywanie informacji poprzez ludzi, którzy mieli do dyspozycji jedynie własne nogi, trwało dniami, a jednostki zmotoryzowane okazywały się być nieskuteczne na terenie, jakim była Zona. Pewne było jedynie to, że jeżeli coś się stanie, to

dowiedzą się o tym za późno, a widmo nadejścia mrocznych stalkerów już dmuchało wszystkim w kark lodowatym oddechem. To się stanie albo dziś, albo jutro.

Fluttershy, podobnie jak Codriss, zaginęła. Nikt ich nie widział od ponad dwudziestu czterech godzin. Sunset również nie dawała oznak życia. Nie podobało się to Młodemu. Naprawdę nikt się już nie ostał ze *starej gwardii*?

Przekręcił się na bok i wbił głowę w poduszkę, wydmuchując powietrze przez nos. Nie mógł zasnąć od paru godzin, co go coraz bardziej irytowało. Źródłem światła była aura szarego poranka, a jedynym towarzystwem jego własne myśli. Uznał to za wyjątkowo depresyjny widok. Nawet pogoda miała gorszy nastrój. A jeszcze tak niedawno mógł grzać twarz w promieniach słońca.

Przynajmniej padał deszcz. Młody lubił jak pada. Szum ulewy zawsze go uspokajał. Bębniące o szyby krople, grzmoty z oddali. Łatwiej wtedy zasypiał, ale nie tamtego dnia. Właściwie to ciężko mu było uwierzyć, że zaczyna świtać. Zazwyczaj godziny podczas bezsennych nocy dłużyły mu się niemiłosiernie, natomiast dziś miał wrażenie, jakby dopiero co położył się spać. Być może jednak zasnął, choć o tym nie pamiętał. W uszach pobrzękiwały mu resztki jakiegoś hałasu. Jakby potężnych dzwonów.

Postanowił wstać. Jego matka spała na posłaniu obok niego. Poruszyła się, lecz nie otworzyła oczu. Przypomniawszy sobie, że wczoraj na parapecie zostawił trochę wody, dlatego też powoli i ostrożnie udał się w tamtym kierunku, uważając na to, żeby nie obudzić swojej rodzicielki. Okazało się to być bardziej wymagające, niż mógł przypuszczać. Deski parkietu skrzypiały pod naporem jego stóp, a Młody dobrze wiedział, że Cream Heart miała czujny sen. W końcu niejednokrotnie przyłapała go na nocnej sesji gry na komputerze, czy gdy wymknął się ze swojego pokoju, pomimo szlabanu, aby nielegalnie napić się alkoholu, czy skorzystać z innych używek podczas zwyczajnego spotkania ze znajomymi. Pewnego razu miała się pojawić również Sweetie Belle, więc nie było opcji, by Młody miał choćby nie spróbować. Niestety tamtego dnia się nie udało, za co oberwał jeszcze większym szlabanem. Tym razem dla odmiany jego podejście do parapetu zakończyło się bez wzbudzania alarmu. Pewnie dzięki zmęczeniu jego mamy. Nie czekając, chwycił butelkę i zaczął pić łapczywie. Od razu lepiej się poczuł. Nie trwało to jednak długo.

Postać stała odwrócona tyłem parę metrów od niego na pełnym deszczu. Nie ruszała się. Woda spływała po niej, kapiała z szaty. Wyglądała jak...

– Hej – zawołał cicho do szpary uchylonego okna.

Brak reakcji.

Młody westchnął cicho. Otworzył szerzej okno.

– Hej, ty! – Starał się nie obudzić matki. Jego wołania ponownie nie dały żadnego efektu. Wychylił się do przodu. Deszcz zaczął skapywać na jego włosy. – Co jest z tobą?!

Ponownie nic.

Młody chwycił pustą już plastikową butelkę i rzucił nią w kierunku postaci. Nawet nie zauważył, kiedy się obróciła i złapała rzucony przedmiot w swoje czarne, metaliczne palce. Wystarczyło mrugnąć, żeby przeoczyć jakikolwiek ruch. Wtedy miał już pewność. To znowu *On*. Ostatnim razem widział go na stołówce wraz z Polipiusem. Opowiadał różne rzeczy, a każda kolejna była coraz to bardziej nedorzeczna, ale jednak fascynująca. Jego rybie zęby były prawie niewidoczne spod niedomkniętych ust. Krople spadały z krawędzi jego kaptura. Młody lekko się wystraszył.

– Ale dzisiaj głośno... – rzekł dziwnie melancholijnym głosem. Młody jeszcze nigdy go takim nie słyszał. Czekał, aż dopowie cokolwiek, ale znów nastała nieprzenikniona cisza.

– Oczywiście, że jest głośno. W końcu pada deszcz...

– Dzwonią dzisiaj jak oszalałe. – Nie pozwolił mu skończyć. Młody wytrzymał słuch.

– Nic takiego nie słyszę.

– Może gdzieś w pobliżu jest kościół. Ale to smutne dzwony. Zawodzą jakąś upiorną pieśń.

– Słyszysz dzwony z wieży kościelnej?

Nie doczekał się odpowiedzi. Dziwna postać powoli wyciągnęła rękę przed siebie i wycelowwała palec prosto w Młodego. Młodzieniec skupił na nim wzrok. Następnie usłyszał powoli wypowiedziane, upiorne słowa.

– Ty zginiesz.

Szum deszczu ustał, twarz młodego nabrała szarości ponurego poranka, a jego serce zatrzymało się. Wpatrywał się w ten cholerny palec, nie mogąc podnieść wzroku. Znów to poczuł. Dokładnie to samo, jak wtedy, gdy Flim i Flam wysłali przeciwko niemu wynajętych zbirów. Po tym jak bracia opuścili Dolinę Mroku w obawie przed uderzeniem Monolitu, myślał, że wreszcie będzie mógł odetchnąć. Dowiedział się o tym wczoraj i na własne oczy obserwował z ukrycia, jak zabierają swoje tyłki w troki wraz z całym dorobkiem. Wydawało mu się, że będzie mieć spokój i już nigdy ich nie spotka ani nikogo równie groźnego. A przynajmniej nie tak szybko. Ale to coś, co właśnie się na niego patrzyło spod mroku padającego na jego twarz, właśnie oznajmiło mu, że zginie. Młody czuł, jak coś podchodzi mu do gardła, choć niczego nie jadł od kilku godzin. Nie ważył się choćby drgnąć. Jak mógłby uchylić się przed kimś, kto był tak szybki, że złapał tę butelkę nie odwracając się płynnie, a wręcz pojawiając przodem do niego?

– No coś tak zbladł? – Osobnik wydawał się być rozbawiony. – Żartowałem przecież.

Młodzieniec wypuścił powoli powietrze z płuc. Jego powieki opadły nieco, a deszcz ponownie zaczął szumieć. Nie wiedział, co o tym myśleć. Bardzo chciał, żeby to wszystko naprawdę było żartem.

– No, nie do końca żartowałem, w końcu każdy człowiek kiedyś musi umrzeć. Prawda?

– Tyle to i ja wiem – odparł Młody, przecierając czoło. – Co cię sprowadza?

– Wyczuwam niesamowicie silną woń nadchodzącej śmierci – odparł, podchodząc do parapetu. Położył na nim swe dwie metalowe dłonie. – Mogę wejść do środka?

– Eeee... przez okno? – spytał.

Ale przybysz już się wdrapywał niezgrabnie, dodatkowo poślizgując się na mokrym parapecie. Zleciał do środka i z impetem przywalił twarzą o podłogę. Młody, całkowicie zdezorientowany, stał i patrzył, nie wiedząc, co robić. Zerknął nerwowo w stronę swojej matki, lecz ta pozostawała pogrążona we śnie.

– Ależ ze mnie niezdara...

– Pomóc ci... Jak ty masz na imię?

– Ech, no dobra, to się zaczyna robić coraz bardziej kłopotliwe. Możesz mówić na mnie Mengansk.

Młody pomógł mu wstać, a gdy spotkał się z nim twarzą w twarz, natychmiast oddalił się o parę kroków. Ciemność zasłaniająca jego oblicze była zbyt nienaturalna.

– Mengansk? Dziwne imię. Co oznacza?

– A nie wiem – odparł, strząsając ze swoich rękawów krople deszczu. – Pożyczyłem je od innego, powiedzmy, że człowieka, i nieco zmodyfikowałem. Ale to było zupełnie w innych czasach i nie w waszym świecie.

– To gdzie ty jeszcze byłeś? Podróżujesz między gwiazdami? To chyba odwieczne marzenie człowieka. Aby sięgnąć tych małych punkcików na nieboskłonie.

– Eee, tak. Podróżuję tam taką obskurną linią kolejową. Parę razy jechałem nawet na gapę. Ale to nieistotne. Ważne jest to, co zrobisz w najbliższym czasie.

Momentalnie spoważniał. Młody zmrużył oczy, przyglądając mu się na wysokości klatki piersiowej.

– A co ja mam niby zrobić? – spytał szeptem Młody.

– Dobrze ci radzę, uciekaj z Doliny Mroku jeszcze dziś.

– Nie mogę. Przecież jeszcze Fluttershy nie wróciła, podobnie jak Sunset czy Codrissd.

– Nie licz na nich. Codriscd nie żyje, Fluttershy praktycznie też – wyliczał beztrzesko, rozglądając się po pokoju – a Sunset ma ciężki czas po spotkaniu z Rarity. Małe szanse, że jeszcze się spotkacie. A tak przy okazji, masz tu może jakiś mop? Trochę wam tu nabałaganilem. Podłoga jest mokra.

– Mop? – pisnął wściekle.

Przed chwilą kolana omal nie ugięły się pod nim. Młody chwycił Menganska za fraki, przyciągnął do siebie. Przestał się bać.

– Zaraz ci nim lutnę! Co to znaczy, że oni nie żyją? Jak? Brałeś w tym udział?

– Nie. Uwierz, że też wolałbym, żeby żyli.

– I pewnie nie zrobiłeś nic jak zawsze? Kręcisz się wszędzie i nic z tego nie wynika. Po której jesteś stronie?

– Z pewnością nie Monolitu.

– Nie Monolitu? – Młody parsknął pogardliwie. – A dzięki komu mają teraz do dyspozycji mrocznych stalkerów? To ty opracowałeś z Doktorem tę technologię! Kto inny, jak nie Monolit, teraz ma z tego same korzyści, co?

Uśmiech Menganska rozszerzył się nienaturalnie szeroko. Jego zęby zazgrzytały o siebie, dłonie zacisnęły się na nadgarstkach Młodego. Zimny dotyk metalu wstrząsnął młodzieńcem tak, że miał ochotę odskoczyć od przybysza. Nie mógł tego zrobić. Chwyt Menganska stawał się coraz silniejszy. Dłonie Młodego zaczynały drętwieć.

– Posłuchaj mnie, chłopczyku – przemówił powolnym, jadowitym głosem. – Nic nie wiesz i gadasz, co ci ślina na język przyniesie. Z ulepszenia ciała artefaktami korzystała na początku tylko grupa Naznaczonego, oprócz Fluttershy. Miało im to pomóc dostać się do Świadomości-Z, ale ci idioci dali się zwieść Spełniaczowi Życzeń. Dopiero potem ta technologia trafiła w ręce Monolitu.

– A więc zjebałeś! Powinieneś tego dopilnować! I puść mnie wreszcie!

Mengansk westchnął podirytowany, ale zwolnił chwyt. Młody niemal nie poleciał do tyłu, próbując się wyrwać.

– Jak uważasz, Młody. Ale ty musisz stąd uciekać, jak już wspomniałem. Zbierz pozostałych przy sobie ludzi i idźcie do Kordonu. Nie zapomnijcie przed tym załatwić przepustek dla wojskowych. Neighsay powinien pomóc. Nie przyznaje się do tego, ale parę razy Powinność współpracowała z wojskiem.

– Dobra. Niech będzie. Ale może masz dla mnie jeszcze jakąś radę? Zawsze to pomagało.

Mengansk zaprzeczył stanowczo głową.

– Tym razem największą radą będzie jej brak. Uwierz mi.

Jednak twarz Młodego nie ukrywała zdziwienia tym stwierdzeniem. Czuł się coraz bardziej zagubiony. Po usłyszeniu tego wszystkiego, przez myśl przeszło mu, czy aby przypadkiem nie jest tu w coś wrabiany, w jakiś nieśmieszny żart, a wszystko, czego się do tej pory dowiedział o dziwnym jegomościu, to jedynie kłamstwa. Ale w coś musiał wierzyć. Inaczej żyć by mu się odechciało.

– Co tu się dzieje? Button, kto to jest?! Ktoś się włamał?

Obaj obrócili się ku przestraszonej matce Młodego, która obudziła się nagle. Młodzieniec chciał czym prędzej się wytłumaczyć, lecz wtedy Mengansk postąpił szybki krok przed siebie, wyciągnął rękę, wystawił palec wskazujący. Kobieta złękła się, skuliła, ruchem ręki wyciągnęła spod poduszki nóż i złapała go pewnie, jednak szturchnięcie zimnego palca w jej czoło, które chłodem przeszło całą jej czaszkę, zadziałał na nią w sposób, jakiego się nie spodziewała. Dziwny impuls, jakby porażenie prądem. Wybuch, który skręcił jej neurony, rozgrzał przewody we wszystkich częściach mózgu. Matka Młodego wypuściła broń z ręki. Złapała się za piersi, jej uda zadrżały jak napięte struny, źrenice rozszerzyły, wygięła się do tyłu, krzycząc z uciechy.

– Ooch, taaaak! – zawyla w spazmatycznej radości, po czym padła z powrotem na posłanie.

Młody nie mógł w to uwierzyć. Nie wiedział, co się stało. Mengansk przyłożył wyprostowany palec do ust i dmuchnął w jego czubek, jakby właśnie zdmuchiwał dym z rewolweru.

– Co... Co się właśnie wydarzyło? – spytał niepewnie Młody.

– Właśnie zadowolilem twoją matkę, żeby się nie rzucała – wyjaśnił, spoglądając na zadowoloną Cream Heart, która wciąż lekko podrygiwała. – Chyba trochę przesadziłem, ale mam nadzieję, że się nie gniewasz. Widzisz Młody, wy, ludzie, jesteście tak skonstruowani, że można wami sterować. Wystarczy wiedzieć, gdzie nacisnąć.

– Zupełnie jak maszynami – mruknął pod nosem, po czym uniósł na Menganska niepewny wzrok. – Oczywiście mojej mamie nic nie będzie?

– Oczywiście, że nie – zapewnił, podśmiechując się lekko. – Chyba przyda jej się taki reset. Przynajmniej nie będzie irytująca.

– Hej! Nie mów tak o niej! – zaprotestował Młody. – Cały czas jest zestresowana. Ma do tego prawo!

– Oczywiście, oczywiście – rzekł pojednawczo Mengansk. Po tym momentalnie spoważniał. – Ale Młody, zapamiętaj sobie to, co dzisiaj tu usłyszałeś. To ważne.

– Rozumiem, mam uciekać z Doliny Mroku jeszcze dziś. No ale co dalej?

Mengansk położył ciężką dłoń na ramieniu Młodego i potrząsnął nim lekko.

– O to się nie martw. Wszystko będzie dobrze.

– Jak do tej pory wcale tak nie było – westchnął, przypominając sobie twarze Fluttershy oraz Sunset.

Mengansk odszedł od Młodego, podszedł do okna i uchylił je szerzej. Zaczął wspinać się na parapet.

– Ale drzwi są tam. – Młody wskazał kierunek.

Mengansk obrócił się ku niemu i przechylił głowę na bok.

– Nie trzeba. Wyjdę tak, jak wszedłem.

– Odwiedzisz mnie jeszcze?

– Czas pokaże – odparł, zeskakując na drugą stronę, prosto w ścianę deszczu. – Musisz przeżyć, Młody. Fluttershy zawiodła.

2

Loki przysiadł się do swoich ludzi. Lubiał z nimi rozmawiać, dopytywać się, czy wszystko w porządku, traktować ich jak swoich uczniów, którym czasem powijała się noga. Często rozsądzał przeróżne spory, od tych banalnych do tych poważniejszych. Podwładni dziękowali mu za to, że poświęcał im swój czas. Traktowali go jak swojego. Doskonały lider, który nie wywyższał się, ale jednocześnie potrafił postawić na swoim, nie będąc przy tym okrutnym. Ostatnio jednak nie miał na to aż tak dużo czasu jak kiedyś. Siadając na postawionym pieńku, nie odezwał się również do nikogo. Jego umysł zmaciły błyski płonącego ogniska oraz smętna melodia wygrywana na strunach gitary. Wśród swoich dostrzegł również Młodego, nie mniej zamyślonego nad czymś, co go najwidoczniej gnębiło w duchu. Ale przecież to było normalne. Stały widok, także u innych, do którego powoli zaczął się przyzwyczajać. Chyba w tym wszystkim najgorsze było oczekiwanie. Oczekiwanie na coś, co nieubłagane nadejdzie i będzie straszne. Wojna nigdy nie jest taka jak w pieśniach. Te wszystkie opowiadania, przyśpiewki z nią związane, one jedynie miały złagodzić ból żołnierzy z całego świata. Wojna to gówno, w którym już wkrótce stalkerzy mieli utonąć. Było to pewne dla wszystkich, że ktoś pożegna się z życiem, że być może po raz ostatni stalkerzy z Wolności spotykają się w takim składzie. Każdy dumał nad tym, czy już za parę dni to właśnie na niego przyjdzie kolej. Bali się.

– Nie rozumiem tego wszystkiego.

Jeden ze stalkerów, Dżuma, siedzący pomiędzy Jarem i Aszotem, westchnął, przerywając wcześniejsze milczenie.

– Po co to wszystko? Już i tak mało nam problemów?

– To Monolit – westchnął Jar. Nawet nie tknął alkoholu. Nie miał ochoty ani pić, ani jeść. – Nie ma sensu próbować zrozumieć ich motywów.

– No ale przecież w każdym, nawet w najbardziej zakutym łbie, coś trybi. Jakaś myśl.

– A może po prostu niektórzy lubią patrzeć, jak świat płonie? – zasugerował Aszot, równie przybity co Jar. – Monolit może być taką chaotyczną siłą pozbawioną większego celu.

– Monolit to nie Joker – zachnął się Dżuma. – Nie mogę uwierzyć w to, że tak po prostu chcą siać chaos.

– To prawda – mruknął Loki, przyciągając tym samym uwagę wszystkich zgromadzonych stalkerów. Nawet Młody podniósł na niego zdeorientowane spojrzenie, jakby wyrwał się ze snu. – Charon nie jest tego typu człowiekiem.

– To o co mu chodzi? – dopytywał Aszot.

– Ech... Od samego początku, od pierwszego dnia, jak tylko go poznałem, wiedziałem, że jest z nim coś nie tak. Ale przeżył swoje w życiu. Nie mam zamiaru go usprawiedliwiać, ale czasem tak sobie myślę...

– Co takiego? – niespodziewanie odezwał się Młody.

Loki sięgnął po flaszkę leżącą przed ogniskiem i odkorkował ją.

– Czy gdybym przeżył to samo, co on, to czy też byłbym taki sam?

– Phi, proszę tak nawet nie żartować! Pan jest świetny, generale. A Charon? Szkoda szczepić ryja... – machnął ręką Aszot.

– Nie żartuję. Pomyślcie tylko. Co sprawia, że jesteście, jacy jesteście? Czy zostało wam to już jakoś zakodowane? Być może gdybyśmy mieli gówniane dzieciństwa, to stalibyśmy się bandytami. Ja tam zawsze uważałem, że człowiek jest jak pusta tablica, która z czasem zapełnia się jego doświadczeniami, co go ostatecznie kształtuje. To się nazywa tabula rasa i jest to taki pogląd w filozofii i psychologii. Człowiek, który się rodzi, jako nietknięta, biała tablica, którą życie dopiero spisze. Być może każdy z nas mógłby być na miejscu Charona.

– Tabula... co? – spytał Aszot, a Jar tylko przyłożył sobie dłoń do czoła w geście zażenowania.

– Tabula rasa. Biała tablica.

– A co on takiego przeżył? – zainteresował się Młody.

– Ach, pamiętam to, jakby to było wczoraj – zamyślił się Loki. – Ja i kanclerz Neighsay byliśmy jednymi z pierwszych stalkerów w Zonie. Wtedy była jeszcze dużo mniejsza, a na jej terenie nie uformowały się frakcje takie jak Wolność i Powinność. Nawet Monolit jeszcze nie istniał. Ale był już Kordon, no i oczywiście ten stary grzyb, Sidorowicz – Loki uśmiechnął się kwaśno i pociągnął jeden łyk z butelki. – Ja, kanclerz oraz Charon byliśmy jak trzech bracia, trzech legendarni wędrowcy, a każdy w końcu oddzielił się od reszty i założył swoją własną organizację jak Lech, Czech i Rus.

– Cooo?! – spytali chórem stalkerzy. – Znał pan Charona od tak dawna? I w dodatku trzymał z nim sztamę? Podobnie jak z Neighsayem? Czemu wcześniej o tym nie wiedzieliśmy?

Loki prychnął tylko, wzruszając ramionami.

– Nikt mnie nigdy o to nie pytał, to i nie zanudzałem nikogo opowieściami.

– No i jaki on był wtedy? W sensie Charon? – spytał Młody.

– Był inny, ale jednocześnie taki sam. Zawsze posiadał bardzo silne poczucie sprawiedliwości...

* * *

Charona pierwszy raz spotkałem w Kordonie. Widziałem, jak grał w pokera z innymi świeżakami. Ale wtedy stało się coś, co zapamiętałem na całe życie i dało mi to już pierwszą lekcję bycia stalkerem; spodziewaj się najgorszego. Gdy uradowany Charon zgarnął dla siebie wygrane pieniądze, pozostali stalkerzy wstali od stołu i najzwyczajniej w świecie zaczęli obijać go aż do nieprzytomności. Przyglądałem się temu wszystkiemu z boku, z bezpiecznej odległości. Nikt nawet nie kiwnął palcem, żeby mu pomóc. Pragnąłem coś na to poradzić... ale jednocześnie bałem się wtrącać w nieswoje sprawy. Dlatego, ze wstydem w oczach, spuściłem bezradnie głowę.

Po jakimś czasie napastnicy, śmiejąc się, zostawili go w spokoju. Zabrali mu wszystko. Gdy sytuacja się uspokoiła, postanowiłem odciągnąć jego ciało w jakieś bezpieczniejsze miejsce. Kupiłem za słoną cenę u Sidorowicza jakieś medykamenty. Cholera, sam stałem się splukany, ale co miałem zrobić? Zostawić go na śmierć? Był taki jak ja. Nie miał nikogo. Ale przynajmniej zyskałem przyjaciela.

Byliśmy w bardzo ciężkiej sytuacji. Pieliliśmy się mozolnie, wykonując najbardziej podłe prace. Ze stalkerami z Kordonu utrzymywaliśmy przyjazne stosunki, toteż czasem nieco bardziej doświadczeni koledzy zabierali nas ze sobą na różne wypadki. Raz zaatakowała

nas sfera ślepych psów. Kundle biegały we wszystkie strony, krążyły wokół. Wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy, jak ktoś umiera. Być może my też tak byśmy skończyli, ale wtedy pojawili się z odsieczą inni stalkerzy. Wśród nich był też Neighsay. Tamto wydarzenie sprawiło, że zyskaliśmy nowego sprzymierzeńca. Postanowiliśmy, że będziemy się trzymać razem. We trójkę. A gdy trafiliśmy na Doktora, wszystko zaczęło układać się znacznie lepiej.

Doktor już wtedy był sędziwy, ale pełny werwy, a do tego bardzo obyty, jakby znał Zonę od podszewki. Stanowił dla nas kogoś w rodzaju mentora. Pewnego dnia udało mu się schwytać szczeniaka nibypsa, którego zamierzał wychować. Próbowalem się z nim zaprzyjaźnić, ale ten ganiał za mną przez całą Wioskę Kotów. Na mnie był najbardziej cięty! Pamiętam, jak raz rzucił się w moją stronę, wgryzając się w mój pasek, aż na nim zawisł. Ściągnął mi wtedy spodnie przy innych stalkerach! Doktor roześmiał się do łez i zabrał tę szkaradę. Z czasem, na całe szczęście, nibypies się uspokoił, ale w sumie spał się jak jasna cholera. To może dlatego nie chciało mu się za mną ganiać.

Jednak po jakimś czasie Doktor wyruszył w głąb Zony i zostawił nas, zapewniając, że nauczył nas wszystkiego, czego tylko mógł. Twierdził, że to miejsce wciąż kryje w sobie wiele tajemnic, a jego dusza odkrywcy nie pozwala mu spocząć na długo w jednym miejscu. Przynajmniej pozostali przy mnie Charon oraz Neighsay.

W przerwach od zleceń, często rozmawialiśmy na różne tematy. Od samego początku kanclerz mnie irytował, ale to były raczej koleżeńskie sprzeczki. Charon również wiele o sobie mówił. Gdy spytałem go o powód przyścia do Zony, początkowo nie chciał mi powiedzieć, lecz później wyznał, że uciekł przed wymiarem sprawiedliwości. Podobno zabił dwóch ludzi. Wydawał się być nieco zawstydzony tym faktem.

Później powiedział mi o tym, co się stało z jego matką. Zaginęła, ale odnalazła się po jakimś czasie, niestety już martwa. Charon był pewien, kto mógł być za to odpowiedzialny, dlatego dokonał zemsty. Drugiego człowieka zabił z pobudek ideologicznych. Tamten człowiek podobno był dwa razy już skazany za przestępstwa przeciwko dzieciom. Charon nie ufał organom ścigania i sądownictwu. Uważał, że policja w sprawie jego matki działała zbyt opieszale.

Postanowił sam wymierzać sprawiedliwość. Często przywoływał w trakcie dyskusji Raskolnikowa ze *Zbrodni i Kary*. Uważał się za jednostkę wybitną, którą, dla większego dobra, nie obejmowały normy społeczne. Wspominał o tym, że chciałby się kiedyś zakochać w kobiecie, która będzie popierać jego światopogląd i będzie go wspierać, a on będzie miał dla kogo żyć.

Jednak pewnego dnia zastałem go bardzo przybitego. Nie tknął jedzenia przez cały dzień. Zaczynałem się martwić, że atmosfera Zony zaczęła zbyt go przytłaczać. Znalazłem go zwiniętego w kłębek na starym materacu w jednym z domków w Wiosce Kotów.

– Zły dzień? – spytałem go ostrożnie. On nie chciał najwidoczniej ze mną gadać, bo nie odpowiedział.

Chciał chyba, żebym go zostawił w spokoju. Zrozumiałem to. Ale gdy już miałem wyjść z pomieszczenia, wreszcie odezwał się do mnie.

– Właśnie sobie coś uświadomiłem – szepnął. – To wszystko do niczego mnie nie zaprowadzi.

– No, ja czasem też mam takie wrażenie względem siebie.

To prawda. Uciekłem do Zony, bo miałem już dość sytuacji w moim życiu. Ostatni rok przed wejściem do Zony był dla mnie bardzo stresujący. Rozwód z żoną, w dodatku dzieci zaczęły się ode mnie oddalać. Traciłem z nimi kontakt.

Wtedy Charon wtrącił się ponownie.

– Nie mówię o byciu stalkerem, tylko o moich celach. Chciałem coś zmienić w tym świecie, ale chyba się do tego nie nadaję. Wszyscy ci wielcy przywódcy potrafili kształtować rzeczywistość wedle własnej wizji. A ja? Jestem tylko podrzędnym stalkerem. Co oni mieli w sobie, czego mi brakuje? Dlaczego akurat oni? To byli ludzie i źli, i dobrzy. Mądrzy i głupi. Tak samo jak my.

– Nie jestem historykiem – odparłem. – Ale może po prostu mieli szczęście bycia tam, gdzie trzeba i jakoś się to potoczyło. Specjalne urodzenie i tak dalej...

– Hmm... – mruknął Charon. Zaczął podnosić się z materaca. – To coś tak jakby... opatrność. Oni zostali wybrani do wielkich rzeczy.

– Może... – odparłem niepewnie, nie wiedząc, co o tym myśleć.

– Jeżeli ja jestem wybranym, to opatrność prędzej czy później i tak da znać o sobie. W takim razie nie mogę się poddawać. Przynajmniej będę próbować.

– Czyli już czujesz się lepiej?

– Tak – odparł z pewnością siebie. – Każdy z nas czasem wątpi. Być może to wszystko jest testem mojego charakteru. Życie mnie sprawdza i wystawia na próby.

Nie podzielałem jego entuzjazmu. Byłem raczej prostym chłopem, któremu nie w głowie jakieś wzniosłe cele czy idee. W tamtym momencie najbardziej martwiłem się o swoich towarzyszy oraz o siebie.

– A jakie są twoje cele? – dociekałem, gdyż nigdy jakoś szczególnie nie był wylewny, gdy o to pytałem. Liczyłem na to, że tym razem dowiem się czegoś więcej.

On natomiast stanął na równe nogi, rozejrzał się niepewnie po pomieszczeniu i wbił wzrok w popękaną podłogę, jakby myśląc nad czymś intensywnie. Miałem wrażenie, że zastanawia się nad tym, czy się ze mną podzielić swoimi najskrytszymi pragnieniami. Po dłuższej chwili wpadł mi głowy pewien pomysł, aby go choć trochę sprowokować do odpowiedzi.

– Ja na przykład chciałbym uszczęśliwić moją rodzinę – odparłem, przyglądając mu się uważnie. Żaden mięsień na jego twarzy nie zadrżał. – Być może to nie odmieni losów świata, ale trochę go ulepszy.

– Na bardzo krótko – odburknął, opierając się plecami o ścianę. – To tylko doraźna pomoc. Nie poprawi to trwale sytuacji na świecie.

– A jak to zrobić?

– Sami dla siebie jesteśmy największym problemem – odparł z westchnieniem. – Ludzkość powinna być kontrolowana.

– Ale przez co?

– Nie wiem... – odparł szeptem. Miałem wrażenie, że smutek znów zaczyna go przygniatać. – Próbuję się tego dowiedzieć i znaleźć jakieś rozwiązanie. Powinno to być coś o wiele doskonalszego od nas, co pomogłoby nam żyć lepiej. Być może Zona skrywa tę tajemnicę.

– Jesteś pewien, że tak właśnie powinno być?

– Oczywiście. Niby dlaczego człowieka człowiek powinien sądzić, skoro obaj posiadają taką samą, zepsutą naturę? Tak, ci wszyscy świętoszkowaci, ale jak tylko dobiórą się do władzy, to upadają moralnie. Bardzo łatwo jest utracić resztki pokory, gdy patrzy się na kogoś z góry w roli kata bądź sędzi. Tylko byt doskonalszy od człowieka powinien mieć prawo do osądzania go.

Niby jej słowa posiadały znamiona prawdy, lecz... wciąż mi tu coś nie pasowało.

– Niektórzy ludzie są mniej zepsuci od innych.

– A to zależy od tego, czego doświadczają w życiu – odparł niemal natychmiast. – Też byś był zgorzkniały i podły, gdybyś od najmłodszy lat doświadcział zła i przyswajał, że warto myśleć tylko o sobie.

– Ale Charon... – westchnąłem ciężko. Miałem wrażenie, że robi z siebie hipokrytę. – Wcześniej mówiłeś, że człowiek nie ma prawa osądzać drugiego, ponieważ obaj posiadają taką samą, zepsutą naturę. W takim razie dlaczego ty ukarałeś tamtych ludzi? Zabójcę twojej matki oraz pedofila?

– Ponieważ byłem ogarnięty ślepą furia – przyznał niechętnie. – Ja przynajmniej posiadam cel, który pozwala wybitnym jednostkom czynić zbrodnie dla dobra ludzkości. Do osiągnięcia celu należy wykorzystać wszelkie, dostępne środki. To prosta kalkulacja. Czyszcząc świat z brudu, sprawiam, że przyszłość będzie lepsza i w dłuższej perspektywie moje rozwiązanie zaprocentuje. Poprzez usunięcie szkodliwych jednostek, zabezpieczam innych ludzi, którzy mogliby doświadczyć zła płynącego od zabitych przeze przestępców. To niestety smutna konieczność. Gdyby ci zamordowani przeze mnie ludzie doświadczyli innych wydarzeń w swoich życiach, mogliby nigdy nie dopuścić się straszliwych zbrodni. Ale to... smutna konieczność. Świat nie jest idealny, więc moje rozwiązanie również. I żadne, czyjekolwiek rozwiązanie, takie nie będzie.

– Ale jednak wciąż stawiasz się w roli sędziego. – wytknąłem mu to. – To wciąż kłóci się z tym, co wcześniej powiedziałaś. Uważasz się za wybitną jednostkę.

– Muszę. Dzięki temu mam siłę i wiarę, aby przeć naprzód. To tymczasowe rozwiązanie. Muszę przynajmniej spróbować. Nic się nie zmieni, jeżeli będę stać w miejscu. Zresztą, zobaczysz. Kiedyś mi się uda. Wtedy pokaże ci rzeczywistość, którą pragnę wykreować, a jeśli tak się stanie, to na końcu okaże się, że jednak byłem ponad innymi i miałem prawo ich sądzić.

– Mam nadzieję, że do niczego złego nas to nie doprowadzi...

Mijały miesiące. Z żółtodziobów staliśmy się już bardziej obeznanymi w sytuacji stalkerami. Postanowiliśmy wybrać się na Wysypisko. Wtedy jeszcze nie było zajęte przez frakcję Bandytów, ale podobno chodziły słuchy, że kręcą się tam jakieś opryszki. Mieliśmy to na uwadze. I bardzo dobrze, bo podczas wędrówki przez Wysypisko, wywiązała się strzelanina.

Akurat przechodziliśmy obok góry usypanej ze wszelkiego rodzaju śmieci, gdy wyskoczyli na nas bandyci. Udało nam się wygrać to starcie, ale zaczęło robić się na tyle nieciekawie, że postanowiliśmy czym prędzej stamtąd zwiewać. Przejście do Kordonu zostało zablokowane przez innych Bandytów. Obraliśmy nowy kierunek do niezamieszkałej Doliny Mroku. Tam założyliśmy nasz obóz, a później dołączyło do nas paru innych stalkerów.

Sytuacja zaczęła stawać się coraz bardziej stabilna. U nas każdy mógł znaleźć miejsce na odpoczynek. Część stalkerów zostawała już z nami do samego końca.

A gdzie ja byłem w tym wszystkim? Cóż, od samego początku to ja starałem się utrzymać wszystko w ryzach. To do mnie, jako pierwszego, stalkerzy przychodzili z wieściami, że Bandyci stają się coraz bardziej zuchwali i zaczynają powoli zapuszczać się w

naszym kierunku. To właśnie te rajdy Bandytów sprawiły, że wykształciliśmy w sobie poczucie wspólnoty. Już wkrótce stworzyliśmy własne symbole, które nas identyfikowały. Nad budynkiem liceum zawisło nasze godło, zielona głowa wilka, która sprzeciwiała się wszelkim występkom Bandytów. Razem odpieraliśmy ataki. Udało nam się wtedy wygrać tę wojnę. Nasza sława przyciągnęła do obozu kolejnych śmiałków. Z czasem było ich tak wielu, że postanowiłem zająć większy teren. Chciałem, żeby Charon oraz Neighsay byli powiernikami moich ludzi. Ale Neighsay odmówił.

Przyszedł do mnie w pewną, deszczową noc. Oznajmił mi wtedy, że chciałby podążać własną ścieżką.. Podał mi rękę i uściśnął moją. Miałem łzy w oczach. Długo odprowadzałem go spojrzeniem, kiedy wyruszył przed siebie, zabierając ze sobą grupkę stalkerów, która zgadzała się z jego poglądami.

Miałem nadzieję, że chociaż Charon przy mnie pozostanie. Ale on również odszedł. Wyjawił mi, że to wreszcie się stało. Opatrzność go wybrała, tak mówił. Zobaczył to w swoich snach, które, jak twierdził, sam Bóg mu zesłał. Chciał się udać w sam środek Zony. Do elektrowni. Oczywiście nie zgadzałem się z jego pomysłem. Jednak nic do niego nie docierało. Przynajmniej obiecał, że będzie regularnie wysyłać mi wiadomości na PDA.

Wędrował bardzo długo, mijając po drodze Prypec aż wreszcie dotarł do elektrowni. Wysyłał do mnie wiadomości, mówiące o przeróżnych, niesamowitych mutantach, które dzisiaj znamy jako pijawka czy kontroler, a także opowiadał o zniszczeniach, jakie wywołał wybuch reaktora. Wymarłe miasta, spieczone w radioaktywnym ogniu. Wiele rzeczy w mieszkaniach wciąż pozostawało na swoich miejscach, wiernie czekając na powrót właścicieli. Opisał również dziwną lunę wstającą nad horyzontem. Na początku był przekonany, że to wschód słońca, ale na to było za wcześnie. Nadciągała burza. Emisja.

Schronił się przed nią, uciekając do podziemi elektrowni. Ja również wtedy to zobaczyłem. To była pierwsza emisja, jakiej doświadczyłem. Gdy Charon wkroczył na teren elektrowni, zaczął opowiadać o przeróżnych dziwnych obrazach, jakie pojawiały się w jego świadomości, o halucynacjach, głosach szepeczących w jego głowie. Przemierzając podziemne korytarze, wreszcie natknął się na pancerne drzwi. Czuł, że to tam ma się udać. Nie były zamknięte. Przeszedł przez nie, a gdy tylko to się stało, wszystko zaczęło się robić coraz bardziej dziwne.

Jego wiadomości stawały się lakoniczne, momentami wręcz urwane w ostatniej chwili. Mogłem dosłownie poczuć jego strach, jak pospiesznie wystukiwał kolejne litery na swoim PDA. Ostatnia wiadomość była najbardziej zagadkowa.

Wkroczył do jakiegoś dziwnego pomieszczenia. Zewsząd słyszał syk pary, dziwne przytłumione dźwięki jakby pracujących tłoków, ale również pipczenie. Spostrzegł tam szklane, zielone tuby z ludźmi wewnątrz. Nie ruszali się, ale najpewniej żyli. Byli podłączeni do jakiejś aparatury, która musiała podtrzymywać ich przy życiu. Wtedy nagle przed nim rozbłysł hologram mężczyzny. Charon odskoczył spanikowany, uciekł z powrotem do korytarza. Ściskając PDA, jakby był jego ostatnią linią życia, napisał do mnie o tym wszystkim. Hologram patrzył na niego. Mówił o różnych, dziwnych, okropnych rzeczach, że to oni są odpowiedzialni za powstanie Zony, że wszystko wymknęło się spod kontroli, ale próbują to naprawić. Chciał również, żeby Charon dołączył do niego, że nic mu nie grozi, o ile będzie podążać za ich instrukcjami...

* * *

– No i co było dalej? – dopytywał Aszot.

Loki tylko pokręcił głową.

– Niestety... Wiadomość się urywa. Charon później już do mnie nie pisał. Sam nie wiem, co się stało, ale wiadome jest to, że przeżył i został liderem Monolitu. Najpewniej to właśnie to chronią w elektrowni. Tych dziwnych urządzeń oraz hologramu. Są ich strażą.

Czyżby to była Świadomość-Z, o której wspominał kiedyś Czarny? – zastanowił się Młody.

Ale na te rozmyślenia nie pozostało już zbyt wiele czasu. Zbliżała się godzina odejścia z Doliny Mroku. Już niebawem przyjdą po niego jego matka, Tree Hugger, Deliktywa oraz Polipius. Już mógł ich zobaczyć z plecakami i całym innym ekwipunkiem, gotowych do wyruszenia. Młody ścisnął lekko swoje dłonie. Nie chciał opuszczać obozu Wolności. To znaczy, z jednej strony chciałby uciec przed wojenną zawieruchą, ale czuł, że zaczyna zapuszczać korzenie w Dolinie Mroku. A nie minęło jeszcze tak wiele czasu. Chyba zbyt szybko się przywiązywał do ludzi i miejsc. Zawsze w takich sytuacjach sentyment drzemiący w jego sercu wtrącał się, narzekając, że nie chce odchodzić od znanego mu miejsca. Ale zmiany były nieuniknione.

Zaraz po tym, jak sobie to uświadomił, zaczął martwić się o coś innego. Nie miał zbyt wiele czasu, aby przemyśleć całą sprawę. Cream Heart już podchodziła do ogniska, patrząc na niego z przejęciem, ale musiał coś wymyślić. Oczywistym stał się fakt, że jego ekipa będzie chciała poczekać na Fluttershy oraz Codrisda, ale już ich się nie doczekają. Tak powiedział tamten nieznajomy, Mengansk. W odróżnieniu od reszty, Młody o tym wszystkim

wiedział. Jak im to wszystko przekazać, nie wzbudzając podejrzeń? Uznał, że nie może im powiedzieć o tym, że Fluttershy oraz Cordrisc już nie wrócą. Spytałiby się wtedy o źródło tych przypuszczeń. Powinien im powiedzieć o Mengansku? Ale chyba im również dałby znać, gdyby też mieli wiedzieć. A może...

Młody sam już nie wiedział, jak ugryźć ten temat. Opowiadanie o jakimś zakapturzonym dziwaku zrodziło by wiele trudnych, niewygodnych pytań, na które Młody najpewniej nie umiałby odpowiedzieć. A jak zareagowaliby inni? Polipius byłby wściekły. Nienawidził go.

– Niech to szlag... – mruknął do siebie Młody. Póki co nic nie będzie mówić. Zobaczy, jak to wszystko się rozwinie.

– Chodź, Button. Już pora – obwieściła jego matka.

Na dźwięk tych słów, Loki odstawił butelkę i powstał z miejsca. Uśmiechnął się ciepło i podszedł do całej grupy.

– Życzę wam powodzenia. Ta przeprawa może okazać się niebezpieczna, ale dacie radę.

– Dzięki za gościnę – odparł Polipius, a Cream Heart zawtórowała mu.

– Miło było z tobą współpracować. – Deliktywa wyszła przed szereg i, ku zaskoczeniu lidera Wolności, objęła go. Wszyscy zebrani wokół stalkerzy patrzyli zazdrośnie. – Kto wie, może jak opadnie bitewny pył, znowu przyjdzie nam współpracować.

– Już nie mogę się doczekać – Loki uśmiechnął się szelmowsko i uściśnął lekko ramię kobiety, po czym zwrócił się do Tree Hugger. – Więc jednak idziesz?

– Taak, panie generalee. Wooolna źle wpływa na przepływ mojej czakry. A tak poza tym, to chcę pooomóc tym tutaj. – Ślamazarnym ruchem wskazała na Polipiusa i resztę.

– Mam nadzieję, że podobało ci się u nas.

– No jaaasne! Poznałam masę fajnych ziomków. Każdy był ideaalny. Dziękuję za możliwość zamieszkania tutaj, generale.

– No nie! – zasmucił się Jar, niemal upuszczając flaszkę. – To ona też idzie?

– Wszystkim nam będzie brakować robionych przez ciebie drinków oraz kręconych fajek, Tree Hugger. W tym nie masz sobie równych – przyznał Loki, a reszta wokół zgodziła się z nim entuzjastycznie.

– Och, to nic trudnego. Ja po prostu zdaję się na moje flow oraz energię kosmosu, która przeze mnie przepływa! – zachichotała dawna już barmanka.

W końcu Loki spojrzał na Młodego.

– Tobie też życzę powodzenia. Było trochę incydentów... Ten z Flimem i Flamem, ale w sumie, ja też wielokrotnie miałem ochotę nakopać im do tyłków. Oczywiście tego nie popieram – poprawił się natychmiast, czując na karku przewiercający wzrok matki Młodego.

– Dbaj o siebie i o swoją mamę. Musisz ją chronić!

– Oczywiście, generale Loki! – Młody zasalutował dowódcy Wolności, a ten odpowiedział mu tym samym, śmiejąc się pod nosem.

– No dobra, trzeba będzie ruszać – oznajmiła Deliktywa. – Ale gdzie się podziali Fluttershy oraz Codriss?

– Wyruszyli na poszukiwanie Sunset – oznajmił Polipius. – Nie wracają już od wielu godzin.

Deliktywa westchnęła cierpiennie.

– Niech to szlag. Tylko opóźniają całą akcję. Co im strzeliło do głowy, żeby szukać Sunset w takich warunkach?

– Może... – zasugerował cicho Młody. – Nie wiem, czy to właściwe, ale może pójdziemy przodem, skoro wam się tak spieszy. Oni wiedzą, dokąd zmierzamy. Powinni do nas dołączyć. Może nawet nas wyprzedzą.

– Hm, też o tym myślałam – przyznała Deliktywa.

Jednak uwagę Cream Heart przykuło coś niepokojącego. Spojrzała znacząco na swojego syna.

– Button, coś się stało? To nie w twoim stylu tak zostawiać swoich kompanów.

Młody przełknął ślinę najciszej, jak tylko był w stanie, czując na sobie analityczne spojrzenie matki.

– To tylko taka sugestia. Zróbcie, co będziecie chcieli...

Młody mógł być wdzięczny za to, że w obozie Wolności nagle wybuchło poruszenie. Uwaga wszystkich zwróciła się w kierunku nadbiegających stalkerów. Loki również ruszył z miejsca, aby czym prędzej wyjść naprzeciw posłańca, któremu od gonitwy aż dech odebrało. Czyżby się spóźnili z opuszczeniem Doliny Mroku? Młody błagał w myślach, żeby to nie było prawdą. Loki oraz przybyli stalkerzy szeptali między sobą nerwowo, posyłając na boki zaniepokojone spojrzenia, jakby chcąc się upewnić, że nikt ich nie usłyszy. W pewnym momencie Loki aż przetarł zroszoną twarz drżącą dłonią, ale nie powiedział już nic do swoich posłańców. Przymknął oczy, zacisnął usta w wąską linię, myśląc nad czymś, aż w końcu przytaknął głową. Posłańcy odwrócili się na pięcie i pognali z powrotem w kierunku bramy wejściowej obozu Wolności. Wszystkie ciekawskie spojrzenia zogniskowały się na Lokim. Próbowali wydobyć z niego jakiegokolwiek informacje, lecz ten je zignorował.

Skrzyżował ręce i twardo wbił wzrok przed siebie. Oczekiwał w napięciu, podobnie jak pozostali.

I wtedy ukazał im się obraz przedziwny. Mutant i człowiek, wsparci o siebie, kroczyli niespiesznie. Stalkerzy wskakiwali na równe nogi, repetowali i celowali w czaszkę kontrolera. Podniósł się krzyk. Potem następny. Loki wrzasnął, aby ich wstrzymać. Nerwowe dłonie ściskające karabiny trzęsły się. Najbardziej bali się ci, którzy spotkali już kontrolerów i ich strach był uzasadniony. Jednak to zdziwienie oraz zdezorientowanie tak naprawdę górowały. Mutant wkracza sobie, a właściwie to kuśtyka do bazy Wolności. A ta stalkerka, Sunset, pomaga mu kroczyć przed siebie.

– Sunset?! – krzyknął Loki.

Młody wyszczerzył oczy. Żyła. Spłynęło na niego uczucie ulgi tak wielkie, że aż usiadł na pieńku przy ognisku. Komuś się jednak udało.

– Tak, generale? – spytała z szelmowskim uśmieszkiem, pomimo jej zmęczenia w głosie.

– No, wytłumacz się.

– Nie ja... – westchnęła, przystając wraz z kontrolerem parę metrów przed liderem Wolności.

Loki bacznie przypatrywał się okrągłym oczom mutantu, wyglądającym jak dwie mroczne studnie. Pierwszy raz mógł obserwować kontrolera z tak bliska i musiał przyznać, że im bliżej, tym paskudniej się prezentował. Zwłaszcza skóra, wyglądająca jak naznaczona zarazą, pęcherzami czy wrzodami. Loki nie miał pojęcia. Właściwie to bałby się choćby zbliżyć do kogoś takiego w obawie przed ewentualną infekcją. Sunset jednak się nie bała.

– To jest Szperacz – ognistowłosa skinęła głową w kierunku mutantu. – Tak go nazwałam. On ci przekaze wszystkie informacje.

– Proszę mi spojrzeć prosto w oczy, generale – poprosił ochrypłym głosem. Loki nie miał na to ochoty, ale zastosował się do prośby.

Wśród stalkerów ponownie wybuchła lekka konsternacja. Kontrolerzy nie potrafili mówić. Owszem, mogli telepatycznie wysyłać swoje myśli do umysłów innych ludzi, najczęściej ostrzeżenia, kiedy ci wkraczali na ich terytorium. Ale żaden z Wolnościowców nie usłyszał głosu mutantów za pomocą uszu. To było dziwne, zwłaszcza, że podobno kontrolerzy nie posiadali stosownych strun głosowych, które pozwoliłyby im na wydobywanie z siebie ludzko brzmiących dźwięków.

Młody nie mógł się napatrzyć. Zerkął to na kontrolera, którego mógł oglądać po raz pierwszy w życiu, to na Lokiego. Skupione spojrzenie kontrolera zatrzęsło ciałem przywódcy

Wolności. Jego oczy wywróciły się, ukazując białka. Mrugał nader często, zbladł na twarzy. Kolana ugięły się pod nim. Pierwsza, gruba kropla potu spłynęła po czole.

– Stać! – krzyknęła Sunset.

Stalkerzy byli gotowi rozstrzelać Szperacza, a sam Aszot zerwał się z miejsca, złożył karabin do strzału i zdążył wystrzelić jedną kulę, która nie trafiła, ale jej świst przecinający powietrze wystraszył Sunset. Nie wiedzieli, co się dzieje i nie mogła ich za to winić. Loki wyglądał okropnie, jak pusta skorupa pozbawiona życia. To nie był jednak czas na nieporozumienia. Nie teraz, gdy poza bazą w pogotowiu czekało piętnastu kontrolerów gotowych zaatakować, jeśli tylko coś stałoby się Szperaczowi. Takiej przygniatającej siły cały obóz Wolności nie byłby w stanie odeprzeć. Wszyscy by zginęli. Sunset omiatała stalkerów twardym, ostrzegawczym spojrzeniem. Jeszcze tylko chwila.

Loki padł na twarz, zwymiotował. Paru stalkerów podbiegło, aby pomóc mu wstać, jednak odtrącił ich, kaszląc i plując przed siebie. Mimo tego zaczął się uspokajać. Usiadł ostrożnie na ziemi i wbił spojrzenie w kontrolera, który również na niego patrzył bez wyrazu. Wpatrywali się w siebie w milczeniu.

– Nigdy więcej – westchnął Loki, przecierając załzawione oczy. – To tak, jakby mi ktoś pompkę włożył do głowy i zwiększał ciśnienie.

– Generale, co się stało?! – krzyknął Aszot, a karabin niemal nie wypadł mu z rąk.

Loki nie odpowiedział od razu. Musiał zebrać się w sobie, żeby cokolwiek powiedzieć.

– Kontroler... on przekazał mi informacje. Przekazał, o co w tym wszystkim chodzi. Wygląda na to, że oni nam pomogą. Są w stanie komunikować się na dalekie odległości z innymi kontrolerami za pomocą telepatii.

– Co?!

Stalkerzy kręcili głowami, szeptali między sobą, robiąc niewybredne gesty względem kontrolera. To było coś nie do pomyślenia. Nie mieli ochoty nawet patrzeć na zdeformowane ciała mutantów, a co dopiero z nimi współpracować. Z potworami, które wymordowały tylu ludzi, w tym z pewnością towarzyszy broni wielu z nich. Jednak Szperacz zdawał się tym nie przejmować. Cierpliwie znosił wszelkie uwagi wycelowane w jego osobę. Z niektórymi wyzwiskami mógł się zgodzić, przywykł już dawno do tego, jak szkaradny był w oczach ludzi, ale nigdy nie chciał wyjść przed kimkolwiek na monstrum bez sumienia. Uznał, że najlepiej będzie po prostu pokazać swój stoicki spokój i ignorować wszelkie złośliwości. W końcu chciał pokazać się z jak najlepszej strony. Jeżeli kontrolerzy mieli pójść na współpracę ze stalkerami, nie mógł sprowokować agresji.

Gdy Loki wreszcie doszedł do siebie, wstał, wyprostował się i spojrzał życzliwszym okiem na Szperacza, ten wreszcie zauważył, że jego strategia zaczyna działać. Dziwnie się poczuł. Nie przywykł do takich gestów. Nawet w tamtej chwili coś go chwyciło za serce. Ta potężna esencja, której nie potrafił nazwać.

– Posłuchajcie – Loki przemówił już w pełni sił, koncentrując uwagę wszystkich wokół na sobie. – Sami ciągle powtarzacie, w jakiej my jesteśmy sytuacji. Nie możemy pozwolić sobie na odrzucenie propozycji pomocy.

– Ale od kontrolerów? – zdziwił się Jar. – Przecież oni nas zabiją!

– Sunset nie zabili. Ponadto Monolit również im zagraża. Mają jasne motywacje.

– A co jeśli to wszystko jest jedną, wielką mistyfikacją? – zasugerował Aszot. – Skąd mamy mieć pewność, że nie próbują nas podejść jakimś podstępem?

– Sunset za nich ręczy. To od niej wyszła propozycja współpracy, nie od nich. Kontrolerzy nie chcieli nawet słyszeć o pomocy innym stalkerom.

– No ale Sunset może być pod ich wpływem! Pan generał...

– ... też teraz może być... – dokończył Aszot.

Loki uśmiechnął się zadziornie.

– Nie. A poza tym przed naszą bazą czeka jeszcze piętnastu kontrolerów. Nie muszą stosować podstępów. Mogą nas wykończyć w każdej chwili, więc lepiej ich nie denerwujcie. Poza tym ja tu rządę i będzie tak, jak postanowię.

Choć Loki był pewien, że przemawiał rozsądnie, to miny wszystkich wokół zdradzały dobijająco złe nastawienie względem całego przedsięwzięcia. Ale to była decyzja lidera Wolności, to był jego obóz, w którym rezydował już od lat. Nikt więcej nie mógł już niczego zrobić, oprócz pogodzenia się ze stanem rzeczy.

Deliktywa westchnęła i spojrzała ku Sunset, która z ulgą przyglądała się reakcji Lokiego. Nieważne, czy ten cały plan wypali czy nie, Deliktywę i resztę jej ekipy już to nie dotyczyło. Kobieta chciała jedynie się dowiedzieć, czy Sunset również.

– Hej, młoda, to co, idziesz z nami, czy zostajesz? – krzyknęła ku ognistowłosej.

Sunset spojrzała ku niej zaskoczona. Nie potrafiła ukryć zmieszania.

– Po tym jak uciekłam, myślałam, że mnie zamordujesz.

– Później – zachichotała burdelmama. – Akurat jestem w dobrym humorze. Poza tym nie chcę rozgniewać twoich nowych kamratów.

– W takim razie pójdę z wami – spojrzała ku Deliktywie i reszcie. – Dajcie mi tylko chwilę, żeby się przygotować.

Deliktywa westchnęła, poprawiając włosy i spoglądając ku niebu.

– No dobra. Korzystając z chwili, wezmę prysznic. Nie sądziłam, że będę mieć na to czas. Za godzinę wszyscy się spotkamy w tym samym miejscu.

– A gdzie jest Fluttershy? – Sunset rozejrzała się zaniepokojona. – Nie widzę też Codrisda. Czyżby dalej się na mnie gniewali?

– Oni... – zaczął Polipius, jednak Deliktywa wcięła się ostro.

– Oni wyruszyli jako pierwsi. Później do nich dołączymy.

Polipius spojrzał wymownie na burdelmamę, jednak niczego nie powiedział. Skoro uznała, że najlepiej będzie skłamać, to nie zamierzał w to ingerować. Być może, gdyby Sunset poznała prawdę, wyruszyłaby za parą, aby ich odnaleźć, tak, jak oni to zrobili względem niej. Mroczny stalker skrzyżował przed sobą ręce. Kłamstwo jedynie odsunie niewygodną prawdę na później. Jedyne pocieszenie znajdował w tym, że to nie on będzie musiał potem się tłumaczyć. Wolał sobie nie wyobrażać w jaką złość wpadnie Sunset, gdy wszystko wyjdzie na jaw. Najlepiej będzie wtedy oddalić się na bezpieczny kilometr lub schronić w bunkrze. Dziewczyna miała swój temperament.

Szperacz odchrząknął znacząco i uwaga wszystkich ponownie skupiła się na nim.

– Nie chciałbym psuć tej wspaniałej chwili, ale moi bracia właśnie dostrzegli mrocznych stalkerów, którzy już są w Dolinie Mroku. Zmierzają prosto na obóz.

– O cholera... – wyszeptał Loki. Na powrót z jego twarzy zniknęły wszelkie kolory. – Ilu? Kiedy przybędą?

– Wszyscy, ale nie jest tak źle. Jeszcze chwilę im to zajmie, jeżeli będą się poruszać z taką samą szybkością.

Loki klasnął w dłonie i zagryzł wargę. Zaciśnął powieki.

– A więc to rozegra się tu i dzisiaj... – szepnął do siebie, po czym wbił twarde spojrzenie w grupę stalkerów zebranych przed nim. – Szperaczu, jesteś w stanie określić ich położenie?

– Tak, dostaję od innych kontrolerów informacje na bieżąco. Mroczni dopiero co przekroczyli zachodnią granicę.

– Słyszeliście?! – krzyknął Loki. Stalkerzy stanęli sztywno, zaciskając mocno dłonie na karabinach. Sprawiali wrażenie gotowych ruszyć w wir walki. – Kontrolerzy będą koordynować nasze posunięcia, dzięki temu wszystko przebiegnie znacznie sprawniej. Polipius! – Tym razem zwrócił się ku mrocznemu stalkerowi. – Skoro i tak wyruszacie za godzinę, to podpowiedz nam jeszcze raz, który z mrocznych jakie będzie mieć umiejętności. Szperacz wyśle ci telepatycznie ich wygląd oraz szyk w jakim się poruszają. Musimy

wiedzieć, którzy z nich będą mieć to ochronne pole, aby użyć przeciwko nim broni Aszota. Dobra?

Polipius rozłożył ręce i uśmiechnął się.

– Jasne. Z przyjemnością.

– A więc ustalone. Stalkerzy, zmieńcie pieluchy, bo czeka nas ostra jazda z tymi sukinsynami.



Mroczni stalkerzy przekroczyli granicę Doliny Mroku. Ich buty zdeptały szeleszczącą trawę, a oczy ujrzały rozciągającą się przed nimi równinę, skażone jeziorko nieopodał oraz ciągnącą się poza horyzont sieć energetyczną ze zwisającymi bezwładnie kablami. Byli wszyscy, wraz z Doktorem jak i Fluttershy, którzy trzymali się z tyłu. Obok nich szedł także inny mroczny, który nieustannie narzekał na to, jak bardzo mu się nie chce brać w tym wszystkim udziału. Rozgłaszał to tak głośno, jak tylko mógł. Mówiono na niego Skorpion, choć ciągle odwracający się ku niemu Magister, chcąc uciszyć jego niedomykającą się *jadaczkę*, uznał, że to imię w ogóle do niego nie pasuje. Zasugerował, że „Leniwiec” byłby znacznie lepszym określeniem.

Magister od paru dni był w podłym humorze. Nie odzyskał swojego dawnego ciała. Pozyskaną przez Monolit głowę Magistra, Doktor przyszył do ciała innego stalkera, niejakiego Żwawego. Nie podobało mu się to, lecz jego poprzednie ciało było na tyle pokiereszowane, że nie nadawało się do niczego, a kolejnego kryształowego artefaktu już nie otrzymał. Nie mógł się zregenerować. Miała to być kara za jego wcześniejszą porażkę, podczas której dał się złapać, co odkryło przed stalkerami wiele tajemnic, jakie skrywały jego trzewia.

– Niedługo zyskasz pełną kontrolę nad nowym ciałem – powiedział Doktor, gdy skończył operować Magistra. – Z czasem znów nabierzesz właściwości mrocznego stalkera, ale Czarnobylitu póki co nie dostaniesz.

Magister nie miał ochoty czekać, tym bardziej, że pogonili go razem z innymi, a jego nogi zaczęły pulsować bólem od wielogodzinnego marszu. Inni mroczni stalkerzy nie odczuwali zmęczenia i to tym bardziej go nakręcało. Nie dawał jednak niczego po sobie poznać, zaciskając zęby i tłumiąc w sobie jakiegokolwiek chęci by ponarzekać. A ten gość z

tyłu, Skorpion, wciąż i wciąż wytykał jak bardzo mu się wszystko nie podoba. Z każdą chwilą facet działał mu coraz bardziej na nerwy.

– O matko, jakie nudy – biadolił Skorpion, wzdychając pod niebiosa. – Może zagramy w jakąś grę? Zabrałem ze sobą karty. – Nie otrzymał żadnej odpowiedzi, jedynie karcące spojrzenie Magistra. Nie przejął się tym. – Bożeee, ale wy jesteście nudni. Ten krajobraz też jest taki nieciekawym... Nie mogli zbudować tu czegoś fajnego? No nic, może postaram się sobie coś wyobrazić. Tak będzie lepiej, no nie? Zawsze miałem do tego głowę, już od dziecka...

– Zaiste, wprowadź choć uncję korowodu, aby objąć swoim gamoniowatym umysłem rzeczywisty stan, który dobitnie wskazuje na to, że chuj nas to obchodzi! – syknął Magister. Tym razem nawet nie zawracał sobie głowy, by spojrzeć na niego.

– Nie będzie już czasu na żadne gry – wyjaśnił uprzejmie Doktor. – Zaraz się rozdzielimy i zaatakujemy ze wszystkich stron. Szkoda, że mgła się rozwiała. Bylibyśmy niewidoczni. Powinniśmy zdążyć przed emisją.

– Czy istnieje choć cień szansy na to, że możemy już teraz rozbić naszą grupę, tak, bym nie musiał już katować moich uszu tym infernalnym pierdoleniem? – Magister wskazał na Skorpiona, który spojrzał na niego wyraźnie ucieszony jego złością.

Doktor westchnął i pogłodził się po brodzie.

– No dobra. Skorpion i Magister, zajdziecie bazę Wolności od północy.

Mroczny stalker stanął w miejscu i spojrzał wściekle na Doktora. Rozeszły się złośliwe chichoty. Rarity zarechotała, klaszcząc parę razy. Wszyscy, poza Fluttershy oraz Naznaczonym, idącym na czele, dokazywali, aby jeszcze bardziej wkurzyć Magistra.

– To jakieś androny...

– Tak będzie – oznajmił stanowczo Doktor. – Charon zechciał, byśmy zaatakowali jako pierwsi, rozdzielając się. Najpewniej uczynił z nas mięso armatnie, które ma zabezpieczyć jego zwycięstwo. Zapewne sam zechce zgarnąć całą chwałę dla siebie. Cóż, nie brzmi to zbyt dobrze.

Nastąpiła chwilowa cisza, przerywana w końcu przez najgłośniejszego mrocznego stalkera.

– Nie martw się, brachu! – Skorpion zachichotał, podbiegając do Magistra i zarzucając mu rękę za szyję. – Mam jeszcze wieeeele ciekawych historyjek.

Mroczny stalker odrzucił go od siebie.

– Błagam... Niech ten dzień wreszcie dobiegnie końca!

Bez pożegnania skręcili w zupełnie innym kierunku. Przybity Magister siedł przed siebie, z żałośnie spuszczoną głową, a donośny głos Skorpiona jeszcze długo wybrzmiewał w uszach wszystkich, aż wreszcie całkiem ucichł.

Naznaczony odetchnął z ulgą. Wreszcie grupa pozbyła się dwójki tych, jak to określał w myślach, frajerów. Nie tylko dlatego, że ich gatki również go denerwowały, ale również dlatego, że ilość mrocznych stalkerów w jego otoczeniu zmalała. Zerknął ukradkiem za siebie. Pozostało jeszcze siedmiu, nie licząc Doktora. Zbyt wielu, aby mógł im sprostać, ale gdy tylko się rozdzielią...

Naznaczony urwał swój wewnętrzny monolog, gdy napotkał podejrzliwy wzrok Doktora. Analityczne, zimne spojrzenie, tak niepodobne do tego, które widywał w przeszłości. Odwrócił się natychmiast, wciąż jednak czując się obserwowany. Czy on wie? Cholera, to może zepsuć jego atak z zaskoczenia. Najgorzej by było, gdyby wyładował w drużynie z Doktorem. Nie znał jego umiejętności, nie wiedział, na co by się porywał, ale był niemal pewny, że nawet jako mroczny stalker miałby problem z pokonaniem Doktora. On znał wszystkich swoich podopiecznych na wskroś, sam ich stworzył, w ten sposób wiedząc o wszystkich ich słabościach. To on go wszystkiego nauczył, był najbardziej doświadczonym stalkerem w całej Zonie. Jednym z pierwszych, jeśli nie pierwszym. Naznaczony zacisnął pięści. Musi to mądrze rozegrać.

– Skoro już o rozdzielaniu się była mowa... – zaczął niewinnie – to powinniśmy ustalić, kto z kim idzie. Doktorze, czy masz już jakiś pomysł?

Staruszek odpowiedział mu niepokojącym uśmiechem. Naznaczony przełknął ślinę, która z trudem przedostała się przez jego gardło.

– Wydawało mi się, że to ty ustalasz takie rzeczy.

– Myślałem, że skoro ty tu jesteś, to będziesz dowodzić...

– Coś taki nie w sosie, Żniwiarz? – Doktor uniósł wymownie brew. – Coś cię trapi?

– Nie...

– No to przestań wyglądać jak zbity pies i rozerwij się trochę. Czekaj nas dzień pełen wrażeń.

– Pomyślałem, że pójdę wraz z Ptasznikiem. Pójdziemy od wschodu.

Spojrzał na idącego za nim nienaturalnie bladego mężczyznę z długimi, rozrzedzającymi się włosami, zwisającymi w nieładzie w tłustych strąkach. Akurat pił coś z manierki, co nieco zaskoczyło Naznaczonego, bo przecież nie potrzebowali wody do przeżycia. Ten mroczny stalker rzeczywiście miał w sobie coś z pajaka. Czarne, małe oczka, skóra, która błyszczała pod światłem i wydawała się być śliska, a ponadto długie,

patyczakowate kończyny. Prawie nigdy się nie odzywał, odpowiadając tym dezorientującym spojrzeniem oraz zaciśniętymi w wąską linię, ledwie widocznymi ustami, jakby miał zamiar lada moment zamordować kogoś z zimną krwią.

– No to nie myśl już więcej i idź – polecił niewzruszony Doktor.

Bardzo dobrze... – pomyślał Naznaczony.

Po chwili odłączyli się od reszty. Wschód był najszybszą drogą do tego, aby dotrzeć do bazy Wolności. Wszystko szło zgodnie z planem. Ptasznik nawet nie odezwał się jednym słowem, jak zawsze zresztą. W odróżnieniu od Skorpiona, wykonywał wszelkie polecenia jak bezwolny golem. Jedynie, co nastroczało problemów Naznaczonemu, to to, w jaki sposób przekona Wolność do swojej przemiany po tym wszystkim, co uczynił. Z pewnością nie powitają go przyjacielsko. Nie mógł tego znieść. Chciał czym prędzej popędzić do swoich dawnych przyjaciół. Udowodnić im, że się zmienił i wszystko wyjaśnić, aby było tak jak dawniej. Jedyna przeszkoda do tego kroczyła tuż za nim.

Już nie mógł się doczekać. Obliczał w myślach wszystkie ruchy, które ostatecznie zniszczą Ptasznika. Gdy tylko oddalili się wystarczająco, poczuł, że nadszedł wreszcie ten moment.

Odwrócić się i rozerwać mrocznego stalkera za pomocą anomalii grawitacyjnej – powtarzał w myślach.

Zatrzymał się, stanął szerzej, zacisnął pięści. Był gotów.

– Żniwiarz...

Strach ogarnął Naznaczonego, gdy chude palce Ptasznika dotknęły jego barku.

– Pająk chodzi ci po ubraniu.

Uspokoił się nieco. Pająk? Tylko tyle? Przez moment wydawało mu się, że Ptasznik czegoś się domyślił. Jego grobowy, ochryply głos zawsze sprawiał wrażenie wściekłego, przez co ciarki powędrowały Naznaczonemu wzdłuż kręgosłupa.

Ptasznik delikatnie zdjął z ubrania jego kompana małą kulkę z ośmioma, długimi, chudymi nóżkami. Pajęczak wiercił się niespokojnie, jakby przeczuwał coś okropnego. Złagodniałe oblicze mrocznego stalkera nie zapowiadało niczego strasznego.

– Ty pewnie lubisz pająki, co? – wycedził Naznaczony, odwracając się ku niemu.

– Nie chciałem, żebyś go zabił – mruknął obojętnie, przyglądając się wystraszonemu stworzeniu, po czym bezceremonialnie rozgniół pająka pomiędzy opuszkami palców, zamieniając go w żółtą maź. Kończyny pająka zadrżały spazmatycznie. – Ja to chciałem zrobić.

Co za zwyrol... – Naznaczony zacisnął mocno zęby. – *Nikt nie będzie po tobie płakać.*

Ptasznik przyglądał się zwłokom pająka, nie patrząc na swojego towarzysza. Naznaczony postanowił to wykorzystać.

Wziął zamach. Przestrzeń wokół jego dłoni odkształciła się, powietrze zawrzało. Energia grawikoncentratu pulsowała wokół jego palców. Czarna skóra kurtki Ptasznika rozdarła się. Rude nitki wypełzły z ciała mrocznego stalkera, wiły się jak niespokojne robactwo. Z zadziwiającą szybkością oplótły się wokół nadgarstka Naznaczonego, wokół szyi, zaciskając coraz mocniej i wpełzając pod ubranie. Ptasznik nawet na niego nie spojrzał.

Co to do cholery jest?! – myślał gorączkowo stalker.

Nie był w stanie wydusić z siebie ani słowa. Nie czuł bólu, ale skóra w kontakcie z tymi rdzawymi nitkami zaczęła po prostu topić się jak rozgrzany ser. Naznaczony wykorzystał wcześniej skoncentrowaną energię wokół dłoni. Przeciął palcami więzy, zerwał je z ciała, po czym prędzej oddalił się od Ptasznika, który, niewzruszony, wytarł rozgniecionego pająka o swoje spodnie.

– Wiesz, jak to mówią w Monolocie – Głos Ptasznika był monotonny, wręcz pozbawiony życia. – Co zabijesz, jest twoje. Gdy się ciebie pozbędę, ja zacznę przewodzić mrocznymi stalkerami. Na Charona też przyjdzie czas.

– Ty gnoju! – wrzasnął Naznaczony, obmacując swoją poparzoną szyję. – A więc to zaplanowałeś.

– Tak. A ty mi to ułatwiłeś, wybierając mnie do duetu. Zabawne.

– No kurwa, bardzo śmieszne. Tym bardziej, że to ja chciałem cię załatwić.

– Naprawdę? – Policzki Ptasznika drgnęły w próbie uśmiechnięcia się. – Nie idzie ci najlepiej. Chyba nie spodziewałeś się tamtego ataku.

Nie spodziewał się. Pamiętał doskonale słowa Doktora, gdy jeszcze byli wolni od wpływu Monolitu. Słowa, które jego mentor powtarzał bardzo często, zwłaszcza, gdy musiał składać Naznaczonego do kupy na stole operacyjnym. Wspominał, że zawsze przed przystąpieniem do czegokolwiek, należy pozyskać informacje. Od tego się zaczyna.

Naznaczony splunął na trawę. Gorzki posmak osiadł na jego języku, obrzydliwy i cierpki, paraliżujący mięśnie. Co to było? Te nitki? Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że wyglądały znajomo. Ptasznik nigdy wcześniej nie był w stanie dokonywać podobnych rzeczy. Teraz, gdy stał naprzeciwko niego, wicie wiły się pod jego skórą, wydostawały na powierzchnię, skręcając się w grubsze wiązki. Falowały jak łeb wściekłego węża. Potworny widok. Zupełnie jakby składał się tylko z nich. Czy Doktor dokonał jakiś modyfikacji na ciałach mrocznych stalkerów przed całą akcją? Możliwe. On mu jednak o tym nie

powiedział. Wystawił go? Nie, gdyby chciał zabić Naznaczonego, mógłby to zrobić wcześniej.

Naznaczony zamrugł ospale. Obraz się rozmazywał. Świat przed nim stanął w kolorach sepii, brudzący wszystko wokół brązem. Nie czuł się dobrze. Rany nie chciały się goić po spotkaniu z tymi parzydełkami, zupełnie tak, jakby oplotła go meduza. Cokolwiek to było, to coś rozpraszało się po jego systemie nerwowym i nawet właściwości mrocznego stalkera nie były w stanie temu zapobiec. Im dłużej nad tym myślał, tym bardziej przypominało mu to rdzawe włosie. Ta anomalia roślinna nie działała dokładnie w ten sposób. To musiało być coś podobnego.

Ptasznik wycofał się parę kroków w tył. Spojrzał na Naznaczonego bez wyrazu jak manekin.

– Teraz wystarczy już tylko obserwować – mruknął, zakładając ręce przed sobą. – Zmodyfikowane rdzawe włosie, kilka tysięcy razy bardziej toksyczne od osy morskiej. Miało zostać użyte przeciwko Polipiusowi. Nawet komórki mrocznego stalkera ulegną degradacji.

Skoro tak, to jakim cudem ten potwór może istnieć, nosząc w sobie taką truciznę, zastanawiał się gorączkowo Naznaczony, po czym padł na kolana ze zwieszoną przed siebie głową. Musiał coś wymyślić, ale jego własny mózg zaczął odmawiać posłuszeństwa. Przesunął palcem wzdłuż rany okalającej jego kark. Wyczuł pociągłe zagłębienie, jakby ktoś uwiesił go za szyję na stalowej lince, przecinającej skórę i z każdym ruchem głębiej zatapiającej się w ciele. Ptasznik z pewnością będzie chciał zdobyć jakieś trofeum. Zaraz, gdy tylko Naznaczony nie będzie już w stanie się ruszać, podejdzie, wyjmie nóż i urznie mu głowę, która będzie dyndać przy pasku. Ktoś taki miałby być zwierzchnikiem mrocznych stalkerów, w tym jego siostry, Fluttershy? Zbyt długo się męczyła i zbyt głęboko wpadła w bagno, aby los pozostania mrocznym stalkerem miał ją całkiem pogrążyć. Naznaczony z trudem wyprostował stężałe mięśnie palców, napinając, prostując każdy po kolei. Wycelował je w dół, tuż przed siebie, gromadząc tam anomalną energię. Zwycięży. Nie dla siebie. Tak postanowił.

Butelka wyfrunęła z przybocznej torby Ptasznika. Okręciła się parę razy, spadła, odbiła i potoczyła tuż przed oblicze Naznaczonego. Zawarty w niej płyn zachlupotał leniwie. To nie mogła być woda, ale sięgnął po nią pośpiesznie. Moc grawikoncentratu drżąc w jego ciele zadziałała, wyrwała wskazany przedmiot. Ptasznik po raz pierwszy okazał choćby cień ekspresji na jego twarzy. Spojrzał z niedowierzaniem, poklepał się po torbie. Ruszył ku Naznaczonemu, nie widząc niemal niewidocznej kuli energii na jego drodze.

Anomalia.

Wszedł w nią. Mógł pożegnać się z połową nogi, która odfrunęła, kręcąc się w upiornym tańcu nad ich głowami. Ptasznik upadł. Z jego oderwanej kończyny zaczęło wypelzać rdzawe włosie, jak setki małych węży, pokrywając wszelką zielen trawy. Nitki sunęły falistym ruchem, rozpraszały się na wszystkie strony. Żdźbła trawy obumierały natychmiastowo w kontakcie z nimi. A Naznaczony pił czym prędzej to, co było zawarte wewnątrz butelki. Nie wiedział, co to było. Nieważne. Ptasznik pociągał łyk tego czegoś niemal co chwilę. Dlatego jeszcze nie umarł od tego rdzawego włosia. Naznaczony był tego pewien lub raczej chciał być.

Wiązka rudych nici smagnęła powietrze tuż przed nim. Następnie strzeliła jak bicz, przeleciała obok, nawróciła. Ponownie zaatakowała. Naznaczony przetoczył się na plecy. Gruby warkocz pomknął tuż nad jego twarzą, wyciągał się dalej i dalej, aż stalker zaczął się zastanawiać, jak długie to cholerstwo mogłoby być. Krótki, średni, długi dystans, na każdym jego przeciwnik był niebezpieczny. Przynajmniej stalker odzyskał po części sprawność ruchów.

Naznaczony skupił w pięści energię anomalii. Niskie buczenie zalało jego uszy, powietrze zawirowało, tworząc pierścień obracający się jak koła rozpędzonego samochodu. Przeciął wiązkę, jego wyprostowane palce spadły na nią jak szabla, rozrywając każdą z nici. Rdzawe włosie rozpadło się. Całe dziesięć metrów płynęło spokojnie w powietrzu jak babie lato, opadając ku ziemi, pozbawione morderczych zapędów. Naznaczony powstał czym prędzej. Ptasznik również stał. Jego oderwana noga złączyła się z resztą ciała. Jedynie falujące wokół rozcięcia na kolanie rdzawe włosie zdradzało wcześniejsze obrażenia. Ale nie było aż tak źle. Wypita mikstura nabierała rozpędu, wypierała toksyny z ciała mrocznego stalkera i choć nie był to szczyt jego formy, zdołał skupić w dłoniach resztki anomalnej energii. Jedną z nich ukrył za plecami, a drugą wystawił przed siebie, czekającą w pogotowiu.

Ptasznik zmrużył oczy, patrząc na pulsujące powietrze w dłoni jego przeciwnika.

– Myślisz, że nie wiem, co robisz w ukryciu? – spytał kpiąco, wybiegając z dyskretnie wirującego wokół niego powietrza.

Sekundę po tym przestrzeń za nim załamała się. Poczuł charakterystyczne mrowienie, jego włosy podniosły się, jakby ciągnięte przez coś do tyłu, ale uciekł. Anomalia złowrogo buczała tuż za nim. Naznaczony skrzywił się, zagryzając wargę. Gdyby nie był osłabiony, posłałby by tego potwora w samo jej epicentrum.

To jeszcze nie wszystko... – uśmiechnął się pod nosem.

Ptasznik nie zatrzymał się. Szarżował, a burza rdzawych nici szalała, wydostając się z jego pleców, splatając się w grubsze wiązki. Zaatakowały, pędziły, rozciągając się jak macki potwora. Naznaczony zatoczył łuk ręką. Anomalia potoczyła się, podążając za ruchem mrocznego stalkera. Złapała pierwszy sznur nici, potem drugi. Wsysała kolejne. Ptasznik zatrzymał się szarpnięty przez niewidzialną siłę. Grawikoncentrat ciągnął Ptasznika po ziemi. Kolejne rdzawe włosie wystrzeliwało, rozdzierając jego skórę na twarzy, na rękach, na klatce piersiowej, miotając się w panice. Próbowало dosięgnąć Naznaczonego, wpadając prosto do anomalii, która wciągała głodnie kolejne jej części, odrywała fragmenty ciała Ptasznika, odchudzając go jak rozwijaną szpulę.

W końcu wpadł cały w centrum anomalii. Targane morderczymi siłami ciała mrocznego stalkera wzniosło się nad ziemię. Wirowało coraz szybciej. Naznaczony przykląkł i zwiesił głowę. Odruchowo otarł pot z czoła, mimo że było ono suche i uśmiechnął się zadowolony z wygranej.

– To patent mojej siostry – powiedział, choć wątpił, czy Ptasznik może go jeszcze usłyszeć. – Nikt, nawet ja, kiedy już wpadnie w sidła grawikoncentratu, nie może już nic zrobić. Tylko pogodzić się z przegraną.

Naznaczony wstał ostrożnie i odwrócił się od całej sceny. Zaczął iść przed siebie.

– Szkoda, że nie mam przyciemnianych okularów... – mruknął akurat w chwili, gdy Ptasznik eksplodował za nim, rozsypując się na setki kawałków.

Dopiero wtedy Naznaczony spostrzegł, że jego walkę oglądało dwóch niepozornych świadków. Niskie, krępe ludziki, ubrane w postrzępione, czarne płaszcze z kapturem, swoją sylwetką przypominające krasnoludy. Jeden z nich krzyknął coś bełkotliwego swoim nienaturalnie niskim głosem. Okrągłe oczka wyostrzyły się, a zmarszczki na szerokiej twarzy jeszcze bardziej się pogłębiły. Naznaczony przystanął. Przyjrzał się im, choć było to niepotrzebne. W swojej długiej, stalkerskiej karierze zdążył już spotkać niejednego takiego mutanta i posłać go do piachu. Burery odznaczały się wyjątkowym okrucieństwem. Częściej niż dla pożywienia, zabijały stalkerów dla rozrywki, nierzadko miażdżąc ich pod ciężkimi przedmiotami lub rozłupując im czaszki za pomocą ciskanych cegieł, które kontrolowały swoimi telekinetycznymi umiejętnościami. Strzelanie do nich, podobnie jak do niektórych mrocznych stalkerów, było nieskuteczne. Burery, wyciągając przed siebie swoje mięsiste dłonie i zataczając nimi okrężne ruchy, jak czarodzieje rzucający zaklęcie, tworzyły pole ochronne odbijające wystrzeliwane kule. Jednak dwa napotkane osobniki nie odznaczały się żadną agresją. Szeptały coś między sobą, wpatrując się z przerażeniem w Naznaczonego. Nagle podniosły głosy, wrzeszcząc coś w niezrozumiałym języku.

– Nic nie rozumiem! – odkrzyknął Naznaczony, po czym podrapał się po włosach. Pokręcił głową. Sam nie mógł uwierzyć, że próbował się skomunikować z burerami, jedną z największych zakał Zony.

Jeden z mutantów wyciągnął rękę przed siebie, pokazując coś za plecami Naznaczonego.

– Nie dam się na to nabrać! – zaśmiał się pod nosem.

Pstryknął palcami, wyciągając rękę przed siebie. Powstała w ten sposób anomalia momentalnie wessała jednego z burerów. Drugi uciekł z krzykiem, śmiesznie dreptając na swoich krótkich nóżkach.

– Burery? Phi.... – Naznaczony przeczesał swoją grzywkę.

Ale może mutanty miały rację, zastanowił się Naznaczony. Skoro przypałały się tu burery, to kto wie co jeszcze. Być może jakaś pijawka, izlom, rzygacz lub nawet kontroler. Nie miał powodów, żeby zbytnio się tym martwić, ale nie zaszkodzi sprawdzić. Gdy się odwrócił, ujrzał coś znacznie gorszego. Nie był to żaden znany mu mutant.

Ciało Ptasznika zaczęło na nowo się splatać. Pełzające na rdzawym włosiu części ciała sunęły jak węże, skupiając się i łącząc w jednym miejscu. Naznaczony wytrzeszczył oczy.

– To niemożliwe...

Zdolności regeneracyjne tego mrocznego stalkera przewyższały wszystko, co do tej pory widział. Rozszczepienie przez anomalie powinno zniszczyć przy okazji jego Czarnobylit, uniemożliwiając jakąkolwiek szansę na odrodzenie. A teraz, na jego oczach, poszczególne szczątki łączyły się z powrotem w całość, zszywając i dopasowując. W jaki sposób te kawałki mięsa wiedziały, co zrobić, nie miał pojęcia. Mózg Ptasznika został rozerwany, przez co powinien utracić wszelką świadomość.

Na nowo skupił w palcach anomalną energię. Skoro za pierwszym razem sztuczka z grawikoncetratem nie przeszła, spróbuje jeszcze raz, lecz wtedy poczuł, jak coś wspina się po jego nogawce. Oderwana dłoń pełzała po jego udzie jak pajak. Skoczyła wyżej, zacisnęła się na jego gardle. Rude wici wystrzeliły z urwanego nadgarstka. Wpełzły przez zaciśnięte powieki Naznaczonego, przenikając coraz głębiej, sunąc pod gałkami ocznymi. Jednym ruchem wyrwały je. Stalker krzyknął, a dłoń uciekła wraz ze zdobyczą, ciągnąc oczy za zerwane ścięgna i nerwy. Naznaczony na oślep przywoływał kolejne anomalie. Żadna nie trafiła. Dłoń wskoczyła wraz z dwoma żelatynowatymi kulkami w sam środek kłębówiska rdzawego włosia, stapiając się z formującą się organiczną masą. Szkielet wraz z mięśniami pokrył się wkrótce skórą. Ptasznik narodził się na nowo, z resztkami swojego

porozdzieranego ubrania, jednak wstający niespiesznie przed niczego się nie spodziewającym wrogiem.

– Szybciej niż się spodziewałem – mruknął Ptasznik, wyginając swój tors na boki.

Jego gimnastykę przerwała fala powietrza, która lekko nim zachwiała. Stojący w pewnej odległości burer na nowo pchnął uformowaną falę energii, która zepchnęła Ptasznika parę kroków w tył. Dziesiątki kamieni i skał wzniosły się ku górze i zawisły nad mutantem. Rozpędzone kamienne pociski rozbijały się na ciele mrocznego stalkera, odrywając naskórek z jego nowo powstałego ciała. Nie przejmował się tym. Szedł w stronę Naznaczonego, który zakrywając swoje powieki dłonią, starał się nasłuchiwać jakichkolwiek ruchów.

– Dzięki, Żniwiarz. Dzięki tobie zyskałem nową zdolność.

Naznaczony odwrócił się w stronę źródła dźwięku i posłał tam anomalie. Ptasznik wyminął ją bezpiecznie.

– Wyciągnij jeszcze raz rękę. Chętnie ją złapię.

– Do kurwy nędzy... – Naznaczony zazgrzytał zębami.

Ciężka, metalowa beczka ze świstem skosiła nogi Ptasznika, zwalając go na ziemię. Mroczny stalker podniósł się, odgarnął włosy i spojrzał z irytacją w kierunku burera, który przygotowywał się do kolejnego ataku. Metalowe pręty poszybowały. Przybiły Ptasznika do ziemi jak włócznie. Jego ręka odłączyła się od ciała. Rdzawe włosie wiło się, ciągnąc kończynę za sobą. Było coraz bliżej mutantu. Potężna betonowa płyta wzniosła się leniwie ku górze tuż za burerem, który widocznie dyszał i męczył się, a grube krople potu opływały jego zdeformowaną twarz. Zaryczał w niebogłosy. Ogromny płat betonu pomknął przed siebie, z hukiem spadając na pełzającą rękę. Ptasznik zawarczał. Wyrwał sterczące z jego klatki piersiowej kawałki stali i odrzucił je w gniewie. Rozejrzał się wokoło. Naznaczonego już nie było przy nim. Odbiegł w kierunku burera, który postanowił przyklęknąć, dysząc głośno i okrutnie. Naznaczony wciąż zasłaniał swoje oczodoły.

– Możemy już zakończyć te zabawy? – spytał rozeźlony Ptasznik, patrząc jak jego odłączona kończyna wygrzebuje się spod betonu i wraca do swojego właściciela.

– Nie – odparł twardo Naznaczony.

Rozsunął palce. Spomiędzy nich oko patrzyło na mrocznego stalkera. Ptasznik uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Wreszcie ci się zregenerowały? To dobrze – Wyciągnął otwartą dłoń przed siebie. Powietrze na niej uformowało ledwie widoczną sferę. – Chciałem, żebyś jeszcze to zobaczył.

– To... – Naznaczony spojrzał swoimi nowymi oczami na pulsującą w palcach Ptasznikach miniaturową anomalie. – To niemożliwe...

– Robi wrażenie? Ty dałeś mi tę moc.

– Jak... ?

– Niby dlaczego mam ci to mówić? Zachowam to dla siebie. Ale pomyśl tylko. Co by to było, gdybym skupił w sobie moc wszystkich mrocznych stalkerów! Mogę również przyswajać umiejętności innych mutantów. To daje mi nieograniczony potencjał, do stawania się coraz silniejszym. Teraz już rozumiem, dlaczego Doktor rozdzielał te artefakty pomiędzy nami. Tym razem jednak się przeliczył.

– W jaki sposób możesz kontrolować anomalie grawitacyjne?!

Ptasznik westchnął.

– A ten dalej swoje. Zaraz sam wylądujesz w grawikoncentracie, razem z tym twoim nieoczekiwanym sprzymierzeńcem.

Naznaczony przytknął dłoń do czoła. Spojrzał na burera, który wciąż dyszał, potem przeniósł spojrzenie na zachmurzone niebo. Zmrużył oczy.

Nie dam rady go pokonać. Nie ma żadnych słabych punktów. Co można zrobić z wrogiem, który przewyższa cię pod każdym względem? Dam radę mu uciec? Cholera wie... On też może pobiec i złapać mnie w rdzawe włosie – pomyślał.

– Ej, burer! – krzyknął, trącając mutantą palcem. – Nie wiem, czemu mi pomagasz i przepraszam za zabicie twojego kolegi, ale jeśli mamy wyjść z tego żywi, to musimy coś wymyślić!

Ptasznik spojrzał na to niemal ze współczuciem.

– Przeciągasz tylko to co nieuniknione...

– Morda! – wrzasnął Naznaczony. – Nie przeszkadzaj mojej wenie twórczej!

Ptasznik wzruszył ramionami. Zaczął iść niespiesznym, acz pewnym siebie krokiem.

– Myśl, myśl, myśl... – powtarzał gorączkowo, klepiąc swoje czoło. – Burer! Weź mi jakoś pomóż!

Przysadzisty mutant dźwignął się z kolan i spojrzał na zbliżającego się mrocznego stalkera. Zaczął pokazywać przeróżne gesty rękami, z których Naznaczony nie zrozumiał ani jednego.

– Kurwa, nie umiem migowego!

Burer z zażenowaniem uderzył się wielką dłonią w czoło, po czym wystawił ją przed siebie i palcem drugiej ręki zaczął kreślić na niej okrąg. Następnie zamknął pięść, wskazał nią nadciągającego Ptasznika, finalnie robiąc ruch, jakby za coś ciągnął. Naznaczony zamrugał tylko oczami.

– Ja pierdzielę, czy to nie może być jeszcze bardziej skomplikowane?!

Burer pokazał dwie zaciśnięte pięści, po czym złączył je, a jedną z nich wyrzucił ponad głowę ku niebu. Następnie wskazał jedną z dłoni, po czym pokazał jedną z anomalii. Po tym powtórzył cały szereg gestów.

– O kurczę! – Naznaczony złapał się za głowę. Chyba zaczynał rozumieć. – Nie dobry z ciebie skurwiel, ale o to właśnie chodzi! – poklepał mutantą po barku, po czym spojrzał gniewnie na Ptasznika. – Zróbmy to!

Mroczny stalker zatrzymał się.

– Co wy niby chcecie zrobić? – spytał kpiąco.

– A nic... – odparł niewinnie Naznaczony.

Rozłożył ręce. Energia przeszła przez nie wraz z wirem powietrza, a trawa wokół Naznaczonego ugięła się ku ziemi. Pstryknął palcami, a przestrzeń przed nim spiętrzyła się, tworząc dwie anomalie, jedną na dole, a drugą tuż nad nią. Dwie pulsujące skupiska grawitacji zabrzęczały w niemiły dla ucha sposób. Burer ruchem ręki podniósł wcześniej rzuconą, metalową beczkę i zagarnął ruchem ręki w swoją stronę. Pomknęła, uderzając po drodze w plecy Ptasznika. Leciał wraz z nią, jak owad przyszpilony do szyby rozpędzonego samochodu. Mroczny stalker wpadł prosto w anomalie znajdującą się na górze. Proces zaczął się powtarzać. Ptasznik wleciał parę metrów, przyspieszając swoją rotację. Naznaczony wraz z burerem obserwowali w napięciu wypisanym na twarzy, co wydarzy się w następnej kolejności. Anomalia zaczęła się trząść, przesuwając na boki, opadła parę centymetrów w dół. Wpadła na drugą. Wtedy się to wydarzyło. Ptasznik zniknął, wystrzelony w górę w niesamowitą prędkością.

– Jest! – Naznaczony klasnął w dłonie. Zadarł wysoko brodę, aby móc jeszcze wychwycić wzrokiem maleńki, rozświetlony punkt na niebie, jednak ten zniknął za chmurami po krótkiej chwili. – Dwie anomalie w zetknięciu ze sobą wytworzyły transfer energii, której wektor skierował się ku górze, tworząc wyrzutnię. Podobnie jak piłka spadająca na już drugą, spadającą piłkę. A skoro jedna anomalia jest w stanie wyrzucić czołg na kilkadziesiąt metrów w górę, to dwie wyrzucą tego frędzla z naszej planety na dobre. To było bardzo sprytnie, burerze. Wiesz co? – powiedział, zwracając się do mutanty, który skierował na niego swoje okrągłe oczka. – Od dzisiaj jesteś... Kamil. Tak, burer Kamil. Jakoś mi to tak do ciebie pasuje – zaśmiał się.

Kamil padł na kolana przed Naznaczonym, bijąc pokłony, jakby oddawał cześć swojemu bogu. Stalker spojrzał na niego zdezorientowany. Właściwie do tej pory nie zastanawiał się wnikliwie, skąd u mutantów takich jak burery wzięła się chęć pomocy rodzajowi ludzkiemu. Było to niespotykane i w żaden sposób do tej pory

nieudokumentowane. Jednak coś sprawiło, że Kamil zaczął wielbić Naznaczonego jak mesjasza.

– Wojna jeszcze się nie skończyła, drogi Kamile. – Przyklęknął do niego, dając mu znak ręką, aby powstał. – Zostało jeszcze paru sukinsynów podobnych do Ptasznika. Kto wie, czy jeszcze nie potężniejszych.



Ptasznik pierwszy raz tego dnia zobaczył Słońce. Blask złotej kuli padł na jego łysą, bladą głowę. Resztki ubioru, które uległy zapłonowi, zaczęły przygasać. Widok był niesamowity. Nad nim rzednący błękit nieba, a pod rozpościerający się poza horyzont dywan najwyższej warstwy chmur. Nie podziwiał widoczków. Kręcił się, miotał, próbując zrobić cokolwiek, aby przeciwstawić się prędkości nadanej przez anomalie. Rozciągał rdzawe włosie, próbując spleść cokolwiek, co mogłoby stworzyć większy opór powietrza. Nic nie pomagało. Wiatr rozpruwał wszelkie konstrukcje. Zaczął czuć się dziwnie lekko. Z przerażeniem spostrzegł zaokrąglający się horyzont, widoki pasm górskich, rzek, skupisk zabudowań będących miastami, morza, oceany, całe kontynenty. Otworzył szeroko usta, gdy Afryka wraz z Europą spojrzały na niego po raz ostatni. Pierwszy raz w swoim życiu dostrzegł cały glob.

Słońce oświeślało otoczonego przez miliardy gwiazd, samotnego, dryfującego przez kosmos mrocznego stalkera. Wcześniej jego prędkość malała, ale teraz leciał nie zatrzymywany już przez nic. Rdzawe nitki wystrzeliły z jego ciała, unosząc się bezwładnie w próżni jak parzydełka meduz. Naśladując ruchy pływaków, próbował wrócić z powrotem, wiercił się, szamotał zanurzony w nieskończonej pustce. Nic nie pomagało. Zrozpaczony Ptasznik krzyknął przeraźliwie, jednak nikt, nawet on sam, nie usłyszał już żadnego dźwięku.

Po kilkudziesięciu latach, gdy jego Czarnobylit wypromieniował wszelką energię, Ptasznik ostygł, przemieniając się w skostniałą mumię z wyrazem wściekłości zastygłym na jego twarzy. Jego płynąca ku głębinom Wszechświata świadomość ostatecznie zgasła. Jednak do ostatniej chwili miał nadzieję, że kiedyś, choćby miały minąć biliony lat, w końcu nadejdzie jego czas.



– Dostałem właśnie wiadomość od patrolującego kontrolera, że jeden z mrocznych stalkerów wyleciał w kosmos... – przyznał niezręcznie Szperacz.

Stojący przed oknem Loki odwrócił się do kontrolera, sprawdzając, czy aby przypadkiem nie robi sobie z niego żartów. Nie wyglądało na to. Mutant siedział na wysłużonej kanapie w gabinecie dowódcy Wolności, co chwilę siorbiąc z kubka parującą herbatę. Na ten widok Loki zawsze się uśmiechał. Tłumił w sobie chęć choćby parsknięcia. Wyglądało to absurdalnie, ale było jak najbardziej prawdziwe. Szperacz nie mógł się nadziwić, jakimi to napojami dysponują ludzie. Zaproponowano mu nawet alkohol, ale Szperacz kategorycznie odmówił, wspominając, że pijany kontroler jest zdolny do niebotycznych wyczynów, które mogłyby zagrozić całemu obozowi.

– To dobrze – przyznał Loki, siadając za biurkiem, na którym stał przestarzały, kineskopowy monitor. – Jak tak dalej pójdzie, to nie będziemy mieć nic do roboty. Nie żebym się nie cieszył...

– Są też wieści z innej części Doliny Mroku – oznajmił kontroler.

Loki nadstawił czujnie uszu.

– Dwóch innych mrocznych stalkerów oddzieliło się od grupy, ale potem ci ponownie się rozdzielili. Każdy poszedł w swoją stronę.

– Dziwne – zastanawiał się Loki. Podparł dłonią swoją brodę. – Myślałem, że trzymają się w parach.

– Jeden z nich był bardzo głośny i cały czas coś mówił, a drugi był wściekły. Chyba nie mógł znieść obecności swojego partnera.

Loki odchylił się na krześle i splótł dłonie na brzuchu.

– Są tak źli, że nawet nie mogą znieść siebie nawzajem – zaśmiał się, po czym zadał jeszcze jedno pytanie. – A reszta mrocznych?

– Idą cały czas. Może potem się rozdziela.

– No dobra. A co z tą parą, która się rozłączyła?

– Mój brat mógł śledzić tylko jednego. Wygląda na to, że jest sam. Całkiem blisko, na północ od nas.

– Hmm... Jeżeli nie ma pola ochronnego, to mógłby się stać łatwym celem, skoro jest sam. Taka okazja może się nie powtórzyć. Myślisz, że mądrze byłoby wysłać oddział, aby spróbować go zgładzić?

Kontroler wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– Nie jestem taktykiem. Przekazuję informacje.

– W takim razie poślę natychmiast po Polipiusa. Powinien wiedzieć, co to za typ i jakie ma zdolności.

– Przekaze tę informację innemu kontrolerowi w bazie. Zaraz go skieruje do ciebie.

– Haha, jesteś naprawdę bezcenną pomocą!

Polipius zjawił się chwilę później. I tak wyglądał na znudzonego, czekając aż Sunset się przygotuje, a Deliktywa wreszcie zakończy swoją kąpiel, dlatego zgodził się bez żadnych oporów. Przybył do biura Lokiego i wypytany o dwóch mrocznych stalkerów, odpowiedział niemal natychmiast:

– Jeden z nich to z pewnością Skorpion. Miałem okazję raz z nim porozmawiać. Kiedyś należał do Wolności – oznajmił cicho, wzdychając. – Nie powinien mieć żadnych specjalnych umiejętności. Jeżeli rzeczywiście jest sam, to poślij oddział swoich chłopców z cięższym sprzętem. Z pewnością się was nie spodziewa. Przy odrobinie szczęścia sprzątnięcie go bez strat. Tylko nie zapomnijcie zabezpieczyć później jego szczątków tak, żeby już nie mógł się zregenerować.

Opinia Polipiusa przekonała Lokiego, aby wysłać oddział bojowników Wolności. Lider frakcji poprosił dawnego mrocznego stalker o zawiadomienie Aszota oraz reszty, która miałyby uderzyć. Ten zgodził się, nie mając niczego innego do roboty.

Poszukiwanego mechanika znalazł po dłuższej chwili w holu jednego z budynków bazy Wolności, gdzie jeszcze działała jakakolwiek instalacja wodna. Aszot wyglądał na jeszcze bardziej zmarnowanego i znużonego niż Polipius. Stał, trzymając piętrzącą się stertę ręczników na rękach, przy białych drzwiach prowadzących do łazienki, z której wydobywały się łagodne pluski i szum wody. Gdy Polipius wszedł do pomieszczenia, ten tylko zamknął oczy i westchnął głęboko.

– Nie wierzę, że dałem się w to zrobić.

– W co? – spytał Polipius, uśmiechając się kpiąco.

Aszot w odpowiedzi podrzucił parę razy ręcznikami.

– No w to! Stoję tu jak kołek już pół godziny i trzymam te zasrane ręczniki. Tak jakby jeden nie mógł wystarczyć. Ale nie, ich tu jest... jeden, dwa, trzy... cztery! Po co aż cztery? Wytlumacz mi to, proszę.

Polipius rozłożył bezradnie ręce. Aszot westchnął cierpiennie.

– Musiałem wyszorować łapy, zanim w ogóle pozwoliła mi ich dotknąć. Aż do łokci! Nie chce mi się tu tak stać.

– No to odłóż je gdzieś – zasugerował Polipius.

– Nie mogę! Nie mam gdzie. Poza tym nie wiem, kiedy wyjdzie. Błagam, żeby to było jeszcze w tym mileniu. Może ty je potrzyimasz chociaż przez chwilę? Nogi mi trochę zdrętwiały.

Polipius zaśmiał się pod nosem.

– Nie wyszorowałem łap.

– Niech cię! Dobra, to patrz na to.

Aszot uniósł kupkę ręczników nad głowę i ostrożnym ruchem położył je wszystkie na jej czubku. Balansował przez moment, upewniając się, że nie spadną, po czym zwycięsko skrzyżował ręce przed sobą.

– Widzisz, jaki jestem sprytny?

Polipius spojrzał na to nieprzekonany.

– Każdy normalny człowiek już dawno mógłby na to wpaść, ale niech ci będzie. Jednak to, co mówili Dżuma oraz Jar jest prawdą. Kobiety potrafią tobą obracać.

Aszot zaczerwienił się na policzkach i omal nie zrzucił wszystkich ręczników, potrząsając nerwowo głową.

– To nieprawda! Chciałem być miły. I tyle. A ona tak ładnie poprosiła... No, zgodziłem się, tak trochę bez namysłu...

– Heh, przeczysz samemu sobie!

– Do jasnej... – syknął Aszot, ale uspokoił się. Na jego twarz wpelzł podstępny uśmiešek. – Skoro już tu stoję tak długo, to chyba nic złego się nie stanie, jak zerknę tylko na chwilę...

– Zerkniesz na co?

– No na Deliktywę, rzecz jasna. Żeby się upewnić, czy nic jej nie jest. Wiesz, wypadki się zdarzają, a w tych drzwiach jest spora dziurka od klucza... – Zatarł dłonie, podchodząc do drzwi.

Przyklął na wysokość zamka, cały czas się upewniając, że ręczniki nie spadną z jego głowy. Wbił spojrzenie w mały otwór. Polipius patrzył na to wszystko z lekkim niepokojem, ale nie komentował całego zdarzenia. Aszot zdawał się przyrosnąć do drzwi, a jego oko pożądliwie łypało, niemal nie wpelzając do dziurki od klucza. Jego szczeka opadła w szoku.

– Tooo... to jest... – Aszot niemal się nie udusił.

– Co takiego? – spytał zaintrygowany Polipius.

– Ja... uuuu... – zapiszczał – nie wiedziałem, że anioły istnieją naprawdę! Wyobraź sobie nagie ciało Deliktywy, zroszone letnią wodą, rozpuszczone włosy, wdzięczne, łabędzie ruchy, idealne kształty i proporcje opatulone parą wodną! A z tego wszystkiego bije nieziemski blask! Moc, która należy się tylko najwyższej cesarzowej stylu! Och... teraz to już można tylko umierać. Niczego, co mnie doprowadziło do tego miejsca, to już nie żałuję.

– A tam, przesadzasz – machnął ręką Polipius. – Baba jak baba. Każdy ma jakieś niedoskonałości.

– Tu ich nie znajdziesz! Chcesz się przekonać? – zachichotał podstępnie, odsuwając się na moment od dziurki do klucza.

Polipius stał przez moment ze zmieszaniem wypisanym na twarzy. Potarł dłoń. Postawił krótki krok w przód. Z zażenowaniem wpatrywał się w otwór w drzwiach. Zupełnie tak, jakby przez nie cała widownia mogła ze śmiechem obserwować jego poczynania.

– To jest złe... złeeee... – jęknął do siebie, przyklękając na wysokość otworu.

Przyłożył do zamka jedyne pozostałe oko. Po drugiej stronie spotkał drugie, niebieskie i wrogo w niego wpatrzone. Odskoczył przerażony. Drzwi otworzyły się z hukiem, trzaskając przy okazji Aszota w policzek i obalając go. Obaj mężczyźni leżeli na drewnianym parkiecie. Deliktywa stała przed nimi wyprostowana i wściekła jak nigdy, ociekając jeszcze letnią wodą. Nie kryła swojego ciała. Aszot wrzasnął. Zakrył twarz dłońmi.

– Proszę się zakryć!

– Po co? – syknęła. Nachyliła się nad nim jak drapieżnik. – I tak już zdążyliście mnie obejrzyć, zboczeńcy!

– Przepraszam! Dobrze, że przynajmniej trzymałem ręczniki... – roześmiał się nerwowo, dotykając czubka głowy. Nie znalazł tam niczego. Jego śmiech urwał się. Rozejrzał się spanikowany. Bawełniane materiały leżały w nieładzie, zbierając wszelki brud z tłustej, nie mytej od lat podłogi. Rzucił się ku nim. Trzepał je pospiesznie, wzniecając coraz więcej kurzu wokół siebie. Jakiegokolwiek ręczniki pospadały z powrotem, gdy mordercza siła szarpnęła go w tył za kołnierz i obróciła go ku gniewnemu obliczu Deliktywy. Przyciągnęła Aszota ku sobie, aż ten zderzył się z piersiami kobiety. Stalker poczerwieniał na twarzy. Usilnie utrzymywał wzrok na jej wygiętych w grymasie ustach, nie wyżej ani nie niżej. Nie był w stanie spojrzeć w jakąkolwiek inną stronę.

Deliktywa zacisnęła zęby, po czym wycodziła:

– Ktoś zaraz dostanie cenną lekcję...

Już po chwili Polipius oraz Aszot szli w milczeniu obok siebie, jak straceńcy do celi śmierci. Aszot miał jeszcze gorzej. Aby ukryć opuchłe oko, musiał zasłonić połowę swojej twarzy. Mroczny stalker nie odniósł żadnych obrażeń, które miałyby się nie zregenerować, jednak i tak czuł w sercu niewyobrażalny wstyd i zakłopotanie. To dobiło go w trakcie ich powrotu z łazienki Deliktywy. Ta kobieta ruszała się zręcznie jak puma, o czym Polipius nie mógł przestać myśleć. Nie mogła być zwykłą osobą. Takiego przeszkolenia nie przechodził byle kto. Mroczny stalker zaczął coraz wnikliwiej zastanawiać się, jaka historia stoi za postacią Deliktywy, jednak jego rozmyślenia przerwało pytanie Aszota.

– A, właściwie to po co tam przyszedłeś? – burknął stalker. Brzmiał tak, jakby był bliski płaczu.

– No właśnie. Miałem ci przekazać rozkazy od Lokiego.

– Błagam! Niech to będzie na drugim końcu Zony! Już wolę spotkanie z oddziałem mrocznych stalkerów niż... z nią.

– Na północny-zachód dostrzeżono jednego mrocznego stalkera. Nazywa się Skorpion – wyjaśnił Polipius. – Zbierz oddział chłopaków. Weźcie coś ciężkiego ze sobą i zniszczcie go. Nie zapomnijcie zabezpieczyć szczątków już po całej akcji.

– Och, dzięki Bogu! – Aszot wznosił ręce ku niebu, odkrywając zaczerwienione limo wokół jego oka. – Muszę zniknąć stąd na jakiś czas.

– No właśnie – przyznał Polipius z nietęgą miną.

Aszot od razu to zauważył.

– Co jest?

– Gadałem z tym mrocznym stalkerem. Ze Skorpionem. On nie jest złym gościem, przynajmniej tak mi się wydawało. Być może kiedyś go znałeś. Należał do twojej frakcji.

– Może. I to cię właśnie gryzie?

– On był dokładnie taki jak ja, kiedy jeszcze pozostawałem pod wpływem Świadomości-Z. Nie chciał tego wszystkiego.

– Jak wielu innych. Ale chyba musimy go zgładzić, nie?

Polipius nie odpowiedział od razu. Stalker widział w jego oczach rozgoryczenie i nieustającą walkę z myślami, zupełnie tak, jakby nagle zapomniał o całym świecie.

– Pozdrówcie go ode mnie – powiedział, a Aszot przytaknął mu.

– Wolnościowcy są cały czas w gotowości, więc wyruszenie zajmie tylko chwilę.

Stalker nie pomylił się. Pogrupowane oddziały zostały już wcześniej zmobilizowane przez Lokiego. Aszot postanowił wybrać swoich najbardziej zaufanych ludzi, do których należał między innymi Jar. Gdy stalkerzy spostrzegli, w jakim stanie przybył do nich Aszot,

niemal od razu posypały się złośliwe komentarze odnośnie jego wyglądu. Jednak on nie był w humorze na żarty. Wraz z Polipiusem objaśnili krótko, jaka zaistniała sytuacja oraz jaki cel postawił przed nimi Loki. Mało kto podszedł do tego entuzjastycznie. Właściwie to nikt. Mury ich bazy dawały ukojenie, odgradzały od całego zła skoncentrowanego w Zonie oraz od wszystkich przerażających opowieści, których zdążyli się nasłuchać w swoim stalkerskim życiu. Od razu zatęsknili za dawnymi czasami, kiedy może i nie było idealnie, jednak wciąż wszystko jakoś się kręciło, a zwiastun nadciągającego Monolitu oraz mrocznych stalkerów pozostawał nieobecny. Żaden ze stalkerów nie miał ochoty opuszczać swojej bazy, ale rozkaz wciąż był dla nich rozkazem. Respektowali decyzje Lokiego. Traktowali go jak podporę, która miała szansę wyprowadzić całą sytuację na prostą.

Aszot westchnął ciężko, sprawdzając odruchowo swoją broń, którą było M4A1, rzadko spotykany model, a w dodatku zaopatrzony w celownik optyczny oraz podczepiany granatnik. Wszelkie czynności wykonywał półprzytomnie, wciąż pamiętając wściekły ton Deliktywy, a jeszcze bardziej czując na swojej twarzy odcisk jej pięści. Chciałby ją przeprosić, ale podejrzewał, że jakiegokolwiek słowa wypowiedziane przez niego nie miałyby znaczenia. Znow mógłby oberwać. Jednocześnie zdawał sobie sprawę, że już nigdy jej nie zobaczy. Jeżeli w ogóle wróci z misji, jej już nie będzie w obozie Wolności. Coraz ciężiej robiło mu się na sercu, gdy o tym myślał. Deliktywa rezydowała tu już od paru lat, na tyle długo, że dla Aszota stała się stałym bywalcem. W taki sposób miałyby się zakończyć ich i tak niezbyt bogata relacja? Aszot nie mógł tego przetrwać.

Loki wyszedł im na spotkanie, gdy już mieli odchodzić. Życzył im powodzenia i upewnił się, że wszystko zrozumieli jak należy. Do rozmowy włączył się również Polipius, tłumacząc, czego powinni się spodziewać.

– Jeżeli nie poczynili zmian wśród mrocznych stalkerów, to nie powinno być żadnych problemów.

– A jeśli jednak poczynili? – spytał Jar, unosząc wymownie brwi.

Polipius skrzyżował ręce przed sobą.

– Wtedy to wszystko może się zdarzyć.

– Pięknie. Nie jestem do końca pewien, ale mi się to nie podoba. A nie, kompletnie wiem, dlaczego mi się to nie podoba...

– Jeżeli dopadniecie Skorpiona bez obawy, możecie zyskać w przyszłości przewagę. Przypominam, że oni najpewniej zaatakują jednocześnie – wyjaśnił mroczny stalker.

– Właśnie – skinął ku niemu Loki. – Uwierzcie mi, że nie chętnie was wysyłam, ale czasem trzeba podjąć ryzyko. A co się z tobą dzieje, Aszot? – spytał lider Wolności, kierując

ku niemu zdziwione spojrzenie. – Zazwyczaj masz najwięcej do powiedzenia, a teraz milczysz. Jeżeli masz jakiś problem, to najlepiej rozwiązać go w tej chwili. Nie mamy dużo czasu. Oczekuję od was najwyższej formy.

Stalker w odpowiedzi jedynie wzruszył smętnie ramionami. Loki postanowił, że nie będzie tego dalej ciągnąć.

– A więc! – krzyknął, prostując się przed nimi. Przytknął otwartą dłoń do czoła. – Z fartem, wilki Wolności!

Cały oddział krzyknął chórem i również zasalutował swojemu generałowi, po czym skierował swoje ostatnie spojrzenie ku zielonemu łbu wilka, który powiewał na fladze Wolności. Stalkerzy maszerowali ku wyjściu z bazy. Jednak jeden głos, dość władczy, być może bardziej niż ten Lokiego, do tego kobiecego, zatrzymał ich w miejscu. Deliktywa kroczyła w ich kierunku. Wszyscy patrzyli po sobie zdziwieni, również przywódca Wolności, a Polipius odchrząknął i odszedł dyskretnie na bok. Aszot zbladł. Jego karabin szturmowy zadrżał w dłoniach. Omal nie upadł. Kobieta szła prosto w stronę stalkera. Wtedy był gotowy naprawdę na wszystko. Nie będzie się bronić. Już wszystko jedno. Pozwoli jej przywrócić symetrię jego twarzy, gdy pięść dosięgnie drugiego oka. Deliktywa rozwarła ręce. Aszot skulił się odruchowo. Kobieta, nie zatrzymując się, wpadła na niego. Objęła go. Stalker wypuścił broń z rąk. Stał sparaliżowany. Deliktywa nachyliła się do jego ucha.

– Być może byłam trochę za ostra, ale to twoja wina... – wyszeptała, łapiąc go mocniej. Aszot nie drgnął nawet na milimetr. – Widziałam, jaki jesteś smutny. Nie powinienes walczyć w takim stanie. Już przeszła mi złość. Nie jesteś złym gościem. Uważaj tam na siebie.

Dyskretnie wsunęła coś do jego kieszeni. Odstąpiła od niego, złożyła szybki pocałunek w policzek i poklepała po głowie, na co Aszot, wciąż nie mogąc wydusić z siebie ani jednego słowa, zachwiał się drętwą jak bądył. Deliktywa po raz ostatni uśmiechnęła się słodko i odeszła w swoją stronę. Cały oddział stalkerów, jak zwykle, odprowadzał ją powłóczystym spojrzeniem. Jako pierwszy inicjatywę odzyskał Loki.

– Taa, czuję się tak, jakby Charon nagle postanowił zaprosić nas na herbatkę. Jesteś gotowy, Aszot? Uważaj, bo zaraz zsiniejesz, jak dalej będziesz wstrzymywać oddech – zaśmiał się.

Stalker odwrócił się gwałtownie z bitewnym zacięciem na twarzy.

– Tak jest, generale! – wrzasnął na cały głos, pospiesznie podnosząc karabin szturmowy.

Wszyscy stalkerzy oddziału patrzyli na niego gniewnym spojrzeniem. Jar złapał się za głowę.

– Aaa! Ty cholero! Było coś między wami?! Dlaczego ja nic o tym nie wiem...

– Jar – upomniał go Loki. – To nie czas na takie dywagacje.

– Przepraszam... Ale ty – wskazał Aszota, który spoglądał na wszystkich z wyrazem zwycięzcy – nie wymkniesz się nam! Jeszcze ci zostawiła szminkę na twojej mordzie!

Aszot delikatnie przytknął palce do policzka.

– Teraz już wiem, że nie będę go mył.

Oddział zaczął maszerować ku wyjściu. Okoliczni stalkerzy zebrali się, gwizdząc i krzycząc, aby życzyć im powodzenia. Przybiegł również Dżuma, który wskoczył wraz z gitarą na jedną z drewnianych skrzyń przy bramie i oklapł na niej. Ujął zręcznie instrument, a jego sprawne palce zatańczyły na strunach.

– Nawet nie ważcie się nie wracać! Czekam na was poker! – krzyknął ku nim.

Wolnościowcy pomachali na pożegnanie, a Dżuma zaczął trącać delikatnie struny, rozpoczynając pieśń, która towarzyszyła wymarszowi.

*Tę opowieść wam
opowie skromny woj
co z wilkiem z Wolności
wyrusza na... raaaajd*

*Orla spotkał tam
co rzucił cień zwady
i z wojska baazamii
urządzał bieeeesiady*

*Pochwycili nas
regresją, no bo jak?
Stąpili nam szpony
Idących do Zony*

*Opór nasz wgniótł
ten skrzydlaty stwór*

*zapłakał nasz wiiiilk
"Mam dosyć juuuz!"*

*Śrubkę daj stalkerowi
plecakiem potrząśnij
plecakiem potrząśnij
loo, o, o
Śrubkę daj stalkerowi
plecakiem potrząśnij-iiii*

*Lecz podniósł wolny wilk
swój morderczy łeb
za nim tylu już wielu
wzleciało ku nieeeebu*

*Mutanty przegnał precz
aż za pasma gór
daleko od ludzi
gdzie miejsce iiiiich*

*Choć opływał krwią
zmiażdżył orla dziób
ten obrońca prawości
historii jest waaart*

*Oto nasza pieśń
To nasz bohater jest
On wrogów pokona
Wznies' w górę pięęęść*

*Śrubkę daj stalkerowi
plecakiem potrząśnij
plecakiem potrząśnij
loo, o, o*

*Śrubkę daj stalkerowi
Obrońcy prawościiii-iii*

*Śrubkę daj stalkerowi
plecakiem potrząśnij
plecakiem potrząśnij
loo, o, o
Śrubkę daj stalkerowi
Obrońcy prawościiii-iii*

*Śrubkę daj stalkerowi
plecakiem potrząśnij
plecakiem potrząśnij
loo, o, o
Śrubkę daj stalkerowi
Obrońcy prawościiii-iii*



– Znów go widzę!

To były pierwsze słowa Jara, gdy przyłożył do oczu lornetkę. Skorpion stał na wzniesieniu, otoczony trawą sięgającą do kostek, samotnym drzewem oraz drogą prowadzącą do majaczących na horyzoncie zabudowań. Pod nim znajdowało się bajoro pełne kłębiących się nad nim oparów i osiadłych anomalii chemicznych, skrzących się zielenią. Mroczny stalker usiadł pod wyschniętym drzewem, wsadził rękę pod głowę, prostując nogi i położył na nosie okulary przeciwsłoneczne. Wylegiwał się, nie zwracając uwagi na otoczenie.

Jar podał lornetkę Aszotowi.

– Wcześniej kręcił się po okolicy jak gówno w betoniarnie – mówił – ale nagle postanowił się położyć. To jest nasza szansa! Damy radę go zdjąć z trzystu metrów. Ten kretyn nawet niczego nie zauważy.

– Dobra... – Aszot odłożył lornetkę i skinął ku dwóm innym stalkerom. – Ładujcie w niego z RPG.

Stalkerzy wyciągnęli stalową rurę obitą drewnem wraz ze spustem oraz celownikiem, po czym załadowali ją jedną z trzech podłużnych rakiet leżących przed nimi na trawie. Gdy głowica pocisku osadziła się z kliknięciem w wyrzutni, stalker przykląkł, zacisnął mocno dłonie na dwóch rękojeściach i przytulił RPG do swojej szyi. Zmrużył oko, celując prosto w odpoczywającego mrocznego stalkera. Wypuścił przeciągle powietrze z płuc. Jego palec drżał na spuście.

– Dawaj... – polecił Aszot, klękając za nim.

Rakieta wystrzeliła z sykiem, wypływając na cały oddział gruby komin dymu. Stalker zachwiał się, omal nie spadając na plecy, ale pocisk pędził przed siebie, nabierając rozpędu. Leciał. Aszot nie odrywał oczu od lornetki. Chciał zobaczyć to łatwe zwycięstwo z bliska. Mroczny stalker, zaskoczony, otworzył ospałe oczy.

– Coś jest nie tak... – przyznał Aszot.

Rakieta zwolniła i zawisła w powietrzu. Wcześniej szeleszczące nad głową Skorpiona drzewo zamarło w bezruchu. Mroczny stalker wstał, przeciągnął się i podszedł do wystrzelonego pocisku. Obrócił go o sto osiemdziesiąt stopni. W następnej chwili rakieta leciała z powrotem w ich kierunku. Aszot zerwał się z miejsca. Wyrzucił lornetkę w powietrze.

– Spierdalać... SPIERDALAAĆ!

Wszyscy rozbiegli się tuż przed eksplozją. Pocisk wbił się tuż za nimi. Słup ziemi i błota wzleciał ku niebu. Wicher pognał tuman dymu przesłaniający oczy Aszota. Stalker padł. Kaszląc i dusząc się nie zobaczył niczego. Grudki ziemi zmieszane z krwią bombardowały go jak grad. Mięsne chlupnięcia, usłyszał je, przebijały się przez gwizd brzęczący w jego uszach. Emblematy Wolności lądowały wokół niego, przyszyte do rękawów rąk Wolnościowców, które spadały samotnie, pozbawione resztek ciała. Dym rozwiewał się powoli. Odslaniał pożogę. Co najmniej połowa jego oddziału nie żyła.

– Jaaar! – wrzasnął Aszot, omal nie wypluwając płuc.

Kolejne sekundy były tymi najbardziej stresującymi w jego życiu. Umysł Aszota był dziwnie otępiały. Nawet nie pomyślał, aby wstać, uciekać, zrobić cokolwiek. Dopiero ręka wyłaniająca się z czarnego dymu pomogła mu podnieść się na nogi.

– Aszot! – Stalker usłyszał znajomy głos. Omal się nie rozpłakał.

– Jar! Co tu się dzieje do chuja pana?!

– A skąd mam wiedzieć?! Odesłał raketę w naszą stronę!

– Co z resztą?!

Właściwie to nie musiał o to pytać. Odpowiedź ta pod postacią urwanych kończyn, rozerwanych głów i torsów dawała o sobie znać. Aszot zerknął pod siebie, a jego ostatni posiłek podszedł mu do gardła, zalegając w jego ustach ohydą breją. Zaciśnął dłoń na wargach i przełknął z powrotem. Ludzie nie żyli. A mroczny stalker? Nie, jego nie obeszłaby tak bardzo eksplozja wymierzona prosto w niego. Mroczni stalkerzy byli jak karaluchy, jak wirusy, jak chwasty z niesamowitą wolą przetrwania, niezdarci, nieskłonni upaść. Zwykły człowiek był przy nich niczym.

– Co teraz?! Aszot! – Dłoń Jara pomknęła, policzkując Aszota. Ten potrząsnął głową. Zadrżał, jakby wylano na niego kubel zimnej wody.

– Ja... nie wiem... Wszyscy nie żyją...

– Nie wszyscy. Część przeżyła. No, do jasnej cholery – dłonie Jara potrząsnęły nim – weź się w garść!

– Dobra! – odtrącił go. Aszot zdawał się wracać do rzeczywistości. – Przede wszystkim; gdzie jest ten cały Skorpion? Zlokalizujcie go!

Dym po eksplozji zdążył już się ulotnić. Zebranych paru stalkerów bacznie przeczesywało dookoła teren, próbując ignorować krew oraz poprzylepiane do ich uniformów kawałki mięsa towarzyszy. Nie mieli czasu ich strząsnąć.

Jar podniósł z ziemi wyrzuconą wcześniej przez Aszota lornetkę i przyłożył ją do oczu. Spojrzał w kierunku, gdzie wcześniej dostrzegli mrocznego stalkera. Nie było go tam. Moment później jednak dostrzegł przez wizjer coś przedziwnego. Czerń. Przerażony Jar wypuścił lornetkę i pognął przed siebie. Mroczny stalker pojawił się tuż przed nim. Wcześniejsza czerń okazała się być jego okularami przeciwsłonecznymi, które ruchem palca podsunął wyżej, opierając o czoło.

Pozostali przy życiu Wolnościowcy wycelowali broń w kierunku Skorpiona. Ten nie przejął się tym, wciąż mając na twarzy ten beztroski uśmiech, który doprowadzał Aszota do szału. Sam stalker odbezpieczył karabin szturmowy.

– Napier... – nie dokończył. Potężne dudnienie karabinów zagłuszyło go całkiem.

Strzelali światłem, prochem, ołowiem. Pociski świstały w konkretnym kierunku. Mechanizmy ich broni tłukły się, wprawiły ich ręce w drżenie. Aszot, z zacięciem na twarzy, nie odpuścił, dopóki pierwszy z magazynków nie spadł tuż przed jego stopy i nie załadował kolejnego. Przyszła kolej na refleksję. Trafili jedynie powietrze. Tam, gdzie wcześniej stał Skorpion, już go nie było. Przemieścił się parę metrów dalej. Aszot przetarł wytrzeszczone oczy. Ale jak to się stało? Przecież nikt nie zauważył, żeby się ruszył z miejsca. Skorpion po

prostu zniknął i pojawił się w innym miejscu, tam, gdzie był bezpieczny i to z taką szybkością, że nikt nie zdążył tego pojąć w ciągu następnych paru sekund.

Aszot odciągnął zamek, przygotował broń. Skłonił się. Strzelał bez rozkazu. Inni poszli za nim w ślad. Znów kanonada trzęsących się luf wypływających serię metalu. Tym razem trafili. Krwawa mgła rozstąpiła się przed nimi. Aszot uparcie ciągał za cyngiel, ale karabin jedynie szczęknął w odpowiedzi. Kolejny pusty magazynek, ale tym razem stalker odetchnął głęboko. Miał ochotę paść na trawę, nieważne, czy była zbrukana krwią. Nogi mu się trzęsły. Chyba jedynie świadomość obecności innych wokół dodawała mu sił. Inaczej nie dałby rady. Ale to koniec. Ustrzelili go. Leżał w strzępach. Aszot splunął z pogardą przed siebie.

Jeden z Wolnościowców podbiegł sprawdzić rozerwane szczątki zestrzelonego ciała. Obrócił oderwaną rękę i z niepokojem dostrzegł na niej naszywkę Wolności. Spojrzał również na resztę ciała. Należała do jednego ze stalkerów, który zabrał się z nimi na tę misję.

– A-aszot... – jęknął przez zaciśnięte gardło, odrzucając ze wstrętem kończynę. – Chyba trafiliśmy nie tego co trzeba...

Na stalkerów padł blady strach. Rozejrzeli się po sobie. Rzeczywiście, brakowało jednego z nich. Dopiero donośne, pretensjonalne chrząknięcie zwróciło ich uwagę. To był Skorpion. Mroczny stalker stał nieopodal, nietknięty przez jakąkolwiek kulę. Był cały, wciąż z tym nieznośnym wyrazem na swojej twarzy. Zwrócił się prosto do Aszota.

– Ty jesteś tutaj dowódcą, prawda? – spytał ze śmiechem.

Aszot sięgnął po pistolet. Wycelował. Nie wystrzelił. Jego palec nie pociągnął za spust tylko za powietrze. Gdy spojrzał na swoją dłoń, zobaczył, że już nie trzymał broni. Jedynie jego palce układały się tak, jakby ciągle tam była. Kolejne spojrzenie. Skorpion obracał na palcu przyboczną bronią Aszota. Odebrał mu ją. Nie zauważył tego. Nie zauważył, gdy tamten wyciągnął mu broń z dłoni, najpierw podchodząc, wyciągając pistolet, a następnie odchodząc na swoje miejsce. To było niepojęte.

Paru Wolnościowców upuściło broń, padając na kolana z dłońmi nad głową. Aszot chwycił za kolejny magazynek przy pasku, jednak ten wypadł z jego drżących dłoni.

Do cholery, to i tak by nie zadziało – pomyślał.

Do tej pory Skorpion unikał wszelkich konwencjonalnych ataków. Jawił się przed nim prawie jak istota boska, mająca kontrolę nad rzeczywistością, mogąca doprowadzić do wszystkiego. Aszot przełknął głośno ślinę, przytulając do siebie karabin szturmowy, jakby był jego tarczą. Odpowiedział piskliwym głosem.

– Tak?

– Noo, Aszot, a nie chciałbyś zagrać ze mną w karty? – spytał beztrąsko Skorpion, wyrzucając talię przed siebie ze swojej kieszeni i łapiąc ją zręcznym ruchem. – Oczywiście każdy z was może się zgłosić.

– Ka-karty?

– Taaak! Kiedyś też należałem do Wolności jak wy, ale Monolit mnie dopadł i wgrał w mój umysł coś, co każe mi za nim podążać. Potem zrobili ze mnie mrocznego stalkera. Wiele razy myślałem nad tym, czy ze sobą nie skończyć, ale nie mogę się do tego zmusić. Coś mnie przed tym powstrzymuje. Dlatego jestem zmuszony znosić ten ból istnienia. Bycia jedynie narzędziem w rękach fanatyków. Inni mroczni stalkerzy nie chcą ze mną grać w karty, przez co dusza takiego gracza jak ja cierpi niebywale! Ale może wy zechcecie?

Wszyscy popatrzyli po sobie przerażonym, błagalnym spojrzeniem. Skorpion westchnął.

– Oferuję *uczciwą* rozgrywkę – powiedział, po czym wskazał za sobą wcześniejsze bajoro nad którym unosił się toksyczny, zielonkawy dym oraz anomalie chemiczne. W pobliżu rosło również drzewo, o które się oparł. – Ten, kto przegra, wejdzie do tego stawu i zostanie pochłonięty przez nie na wieki! Mam na myśli to, że jeżeli jeden z was przegra, to wszyscy z waszego oddziału będą musieli się tam udać. A jeżeli ja przegram... – Skorpion uśmiechnął się rozkosznie. – No cóż... No to jak, stalkerzy, zgadzacie się? W innym wypadku siłą was tam powrzucam.

– Ja... ja pierdolę! – syknął Aszot, zaciskając pięści. – Chcesz grać w karty? Mamy postawić na szali nasze życie?

– Doskonale! – klasnął w dłonie, śmiejąc się. – Widzę, że rozumiesz. Im wyższa stawka, tym bardziej ekscytująca jest gra.

– Doobra! – wrzasnął Aszot, wyginając palce w gotowości, aż stawy w jego dłoniach strzeliły. – Ja się z tobą zmierzę!

– Jesteś pewien? – zawołał Jar, obserwując wszystko z niepokojem.

Aszot wyciągnął nad głowę kciuk uniesiony ku górze.

– Jar! Kto inny jak nie ja mógłby stanąć do pojedynku? Pamiętasz ostatnią grę w pokera z tobą i Dzumą w moim warsztacie? No, to już masz odpowiedź. Nie znajdziesz większego szulera w Zonie niż ja!

– Świetnie! – ucieszył się Skorpion, a dwa krzesła oraz stolik pojawiły się w jego rękach, tak, jakby przyzywał je jakimś zaklęciem. – Zaczynamy od razu.

Mroczny stalker usadowił na trawie wszelkie umeblowanie. Usiadł wygodnie na krześle, rozłożył się i wskazał Aszotowi miejsce naprzeciwko. Stalker zajął je, sztywno

podtrzymując swoją posturę wraz z szyją, która chętnie wygięła by jego bezwładną głowę na bok.

– Jesteś pewien, że to ty chcesz stanąć do pojedynku? – spytał Skorpion, przerzucając z dłoni do dłoni pudełko z kryjącą się w nim talią kart.. – Później nie będzie już odwrotu. Pamiętaj, że jeśli przyłapię cię na oszustwie lub jakimkolwiek błędzie, gra kończy się na twoją niekorzyść. Właśnie stawiasz swoją duszę i wszystkich twoich towarzyszy.

– Tak, tak! Rozkładaj te karty! – odburknął zdenerwowany Aszot, krzyżując ręce przed sobą.

– I to mi się podoba! Zaczynamy!

Ostrożnie wyjął talię z pudełka. Aszot w pierwszej chwili nie rozpoznał wzoru koszulki kart. W ogóle nie wiedział, z jakimi kartami ma do czynienia. Skorpion zrecznie je przetasował, wykonując przed nim cudowne akrobacje z użyciem swoim palców i rzucił talię na środek stołu.

– Możesz przełożyć – oświadczył.

Aszot uniósł drżącą dłoń i wybrał losową liczbę kart, którą zdjął z kupki i zakrył pozostałą talią. Skorpion zamaszystym ruchem ujął talię w palce i rzucił ku stalkerowi siedem kart, jak również sobie, po czym odstawił resztę kart na środek stołu.

Jar przyglądał się wszystkiemu wnikliwie, obserwując każdy ruch, niemal wystając zza ramienia Aszota. Nie mógł przestać myśleć o tym, jaką umiejętność posiadał ich adwersarz. To wymykało się jego wyobraźni. Zrozumienie w jaki sposób działa ich przeciwnik, mogło być pierwszym krokiem do pokonania go. Facet zniknął i pojawiał się, gdzie chciał i kiedy chciał, posiadając całkowitą kontrolę. Ustawiał wszystko wokół wedle własnego uznania. Czy to był jakiś trik? Nie mógł tego przyswoić. Jeżeli nie, to nie istniał żaden osiągalny dla nich sposób, żeby go pokonać. Jedynie gra karciana, pomimo wątpliwych zapewnień Skorpiona, mogła ich uratować.

Aszot spojrzał tępo w karty, które wylądowały w jego dłoni. Jakieś cyfry wraz z kolorami, strzałki, znaki wyglądające podobnie do tych drogowych, żadnych typowych figur. Nic z tego nie rozumiał. Coraz bardziej się pocił.

Gra się rozpoczęła. Skorpion rzucił na stół czerwoną jedynekę. Aszot zamarł, wpatrując się błagalnym spojrzeniem w karty, jakby w nich szukał odpowiedzi na jego wątpliwości. Jar momentalnie dostrzegł to wahanie.

–Ej, Aszot? Co ty wyprawiasz? Dlaczego nie zagraasz kolejnej karty...?

– Ostrzegam! – Skorpion wymierzył w niego palec jakby był jadowitym żądłem. – Zgodził się na pojedynek. Nie możesz mu podpowiadać. Nikt nie może!

– Aszot! – krzyknął Jar, odwracając siłą głowę jego przyjaciela ku sobie. Aszot spoglądał na wszystko błędnym spojrzeniem. – Co ty wyprawiasz?! Graj! Chyba nie powiesz mi, że...

Pięść Aszota zacisnęła się na kartach. Omal nie wyskoczył z krzesła.

– O nie! Trzeba było spytać, w co będziemy grać! Kompletnie nie znam tej gry! Myślałem, że to będzie poker...

– Ty idioto! – wrzasnął Jar, chwytając Aszota za ubranie i przyciągając go ku sobie. Potrząsnął nim jak szmacianą lalką. – Jak to nie wiesz, jak się w to gra?! To UNO! Do kurwy nędzy, przez ciebie wszyscy zginiemy!

– Przepraszam, ja...

– Nie chcę tego słyszeć! Masz wygrać! Bo inaczej...

Nie dokończył. Aszot osunął się z jego rozluźnionych dłoni, prawie spadając na trawę. Widział gniew, niewyobrażalny żal w oczach Jara oraz pulsujące na skroniach żyły. Wyglądał tak, jakby piekło wraz z żądzą mordu rozgorzały w jego sercu. Aszot skulił się w krześle, zasłaniając wypieki na twarzy wachlarzem kart.

– Pośpiesz się, zostało ci parę sekund – ostrzegł go Skorpion.

Aszot przebiegł panicznie wzrokiem po siedmiu kartach. Spojrzał na stół. Czerwona jedynka, czerwona jedynka. Rzucić coś na stół? W tamtym momencie wydawało się to być najrozsądniejszą opcją. Nie miał czasu. Nie zastanawiał się. Śliskimi palcami, prawie upuszczając, położył na stole czerwoną trójkę. Skorpion nie czekał. Jednym, zamaszystym ruchem zakrył ją żółtą kartą. Aszot zmarszczył brwi. Coś wydawało się nie tak. Ale przecież to również była trójka. Umysł stalkera działał na najwyższych obrotach. Wszystko powoli układało się w jedną całość. Wcześniejsze rzucenie czerwonej karty nie było błędem, inaczej mroczny stalker by to wypomniał, a teraz ten pozbył się żółtej trójki. Czy to było zgodne z zasadami? Najpewniej tak, ale Aszot nie mógł tego z całą pewnością stwierdzić. Przecież on nie złapie go na oszustwie, nie znając zasad. Postanowił jednak to zapamiętać.

Zielona trójka opadła na rosnący stos. Aszot przełknął ciężko ślinę. Chciał sprawdzić swoją hipotezę. Skorpion nawet nie drgnął. Wszystko było w porządku. Stalker westchnął cicho i otarł pot z czoła. Zwiesił głowę na moment, dając krótkie wytchnienie napiętemu karkowi. Zaczynał rozumieć coraz więcej. Karty muszą pasować do siebie przede wszystkim kolorem ale mogą też cyfrą.

Nadeszła tura jego przeciwnika. Stalker spojrzał na niego, a uśmiech rósł na twarzy mrocznego stalkera wraz z zadowoleniem. Nie mógł się powstrzymać. Był w swoim żywiole.

Aszot czuł się wręcz odwrotnie. Zielona siódemka. Skorpion rzucił ją, zakrywając pozostałe karty.

– Dobrze, Aszot! – pochwalił go Jar, jednak sens tych słów nie docierał do jego skupionego towarzysza. – Jak dotąd nie idzie tak źle!

Spojrzał na jego zestaw. Policzył szybko ile ma kart. Pozostało pięć, w tym czerwona piątka, żółta szóstka, niebieska dwójka, zielona ósemka oraz jedna karta zmiany koloru. Jar zaklął cicho. Jeden z najgorszych układów. Do tego nie spodziewał się, żeby Aszot wiedział, jak użyć karty zmiany koloru. Miał szczerą nadzieję, że u mrocznego stalkera sytuacja wyglądała podobnie.

Aszot pozbył się ósemki i wtedy spełniły się najgorsze obawy Jara. Skorpion trzasnął otwartą dłonią w stół, aż wszystko się zatrzęsło. Gdy powoli ją odsunął, oczom wszystkich ukazały się cztery, zielone karty. Z jego dłoni wystawała tylko jedna.

– UNO! – krzyknął, śmiejąc się okrutnie. Aszotowi omal oczy nie wypadły z orbit. Skorpion rozsiadł się wygodnie i wyciągnął nogi pod stół. – Sytuacja na stole zawsze może się zmienić, prawda? Na przykład tak jak teraz, co Aszot?

Nie odpowiedział mu. Jego usta wygięły się w grymasie bitewnego zacięcia. Oddychał głęboko. Opadł plecami na oparcie, nie odrywając wzroku od karcianego wachlarza.

Jar odwrócił się. Nie chciał na to patrzeć. Nie miał też ochoty zostawiać towarzysza samego, ale to i tak niczego by nie zmieniło. On nawet nie zwracał na niego uwagi. Oprócz rozgrywki w UNO, Jara dręczyło coś jeszcze. Co było nie tak z tym mrocznym stalkerem? Starał się przypomnieć sobie cokolwiek, co mówił Polipius. Przecież on z nimi wcześniej współpracował, powinien coś wiedzieć, ale on zaprzeczył, żeby ze Skorpionem były większe problemy. I jak to się skończyło? Jar był bliski wczesnego wyłysienia. Jego palce zacisnęły się na kępkach ciemnych włosów. Tamten mroczny stalker, Skorpion, on przecież wcześniej przemieszczał się tak, jakby się teleportował. Znikał i pojawiał się gdzie miał ochotę. Jednocześnie wiedział, że Polipius był w stanie teleportować małe wycinki przestrzeni w różne miejsca. Jar przytknął dłoń do brody jak prawdziwy filozof. O to w tym wszystkim chodziło? Skorpion potrafił kontrolować przestrzeń, w jemu tylko znany sposób używając anomalii przestrzennych lub nawet czasoprzestrzennych? Ale przecież wszystkie anomalie mają jakiś zasięg, prawda?

Stalkerowi wykielkowały w umyśle dwie hipotezy. Postanowił, że je sprawdzi. Odszedł od stołu, dokładnie licząc pod nosem każdy krok, próbując za każdym razem

posuwać się metr przed siebie. Gdy doliczył do trzydziestu pięciu, odwrócił się na pięcie i skrzyżował ręce przed sobą. Z tego miejsca będzie obserwować dalszą rozgrywkę.

To są chyba jakieś jaja... Pozbył się aż czterech jednocześnie?! Nawet nie wiedziałem, że tak można, ale mogłem się tego spodziewać – pomyślał Aszot, wwiercając się wzrokiem w pozostałą kartę Skorpiona. – Coś mi mówi, że przegram, jak pozbędzie się kart. To coś jak makao. No i co teraz? Nie mam już koloru ani cyfry. Pozostała mi jeszcze jedna karta, ale nie wiem, co to jest...

Stalker przyjrzał się elipsie nadrukowanej na froncie, która podzielona była na ćwiartki we wszystkich, czterech kolorach. Wyginał kartę niecierpliwymi palcami, myśląc nad następnym posunięciem.

Zaraz... W makao można było zmieniać kolory. O to w tym chodzi? Ale jeżeli popełnię błąd, to przegram...

Nie mając już więcej czasu, Aszot postanowił sięgnąć drżącą ręką po następną kartę z talii. Jar zakrył twarz z żalu, nie mogąc patrzeć na wyczyny swojego przyjaciela. Inni stalkerzy klęli pod nosem, obgryzając skórę z dłoni aż do krwi. Skorpion uniósł wysoko brew.

– Zbyt łatwe zwycięstwo nie jest niczego warte – przyznał z rezygnacją w głosie.

Trzask. Aszot stał pochylony nad stołem. Krzesło spadło za nim. Jego pięść leżała na stosiku kart. Dołożył kartę zmiany koloru i krzyknął:

– Zamknij się! Zmieniam na żółty! Żryj to! – wrzasnął, wyrzucając żółtą szóstkę.

Wszyscy wokół westchnęli z ulgą. Najbardziej chyba Jar. Sytuacja znowu się zmieniła, jednak czuł, że nie po raz ostatni.

Z początku uznał, że Aszot zamarł w bezruchu myśląc nad swoją strategią i kolejnymi posunięciami, ale spostrzegł również innych, obserwujących wszystko stalkerów. Ci stali jak posągi odlane z marmuru. Wszystko przed Jarem zatrzymało się. Oprócz Skorpiona. Mroczny stalker wstał ze swojego miejsca i jakby nigdy nic podszedł do Aszota, zaglądając w jego karty. Nikt się nie poruszył.

– Aszot! Co ty wyprawiasz?! Nie pozwól mu zobaczyć swoich kart! Co tak sterczysz nieruchomo?!

Nic się nie zmieniło. Nikt nie zareagował. Skorpion beczelnie wpatrywał się w karty stalkera, po czym sięgnął po talię i zaczął przekładać karty wedle własnego uznania. Po wszystkim usiadł i zamarł w dokładnie takiej samej pozycji jak przedtem, gdy wszyscy jeszcze się ruszali. Aszot wciąż stał w nieruchomo, tak samo jak przedtem, jak również pozostali stalkerzy.

Po chwili wszystko odżyło na nowo.

– Co? – odrzyknął Aszot. Cała reszta stalkerów spojrzała dziwnie na Jara. – Że niby on mi patrzy w karty? Przecież widzisz, że tego nie robi. O co ci chodzi?

– Niesamowite... – jęknął Jar, prawie padając na kolana. Jego głos dopiero teraz dotarł do uszu pozostałych stalkerów. Wcześniej dźwięk zatrzymał się, jakby przez coś zablokowany.

Jar bez słowa wyjaśnienia podbiegł do stołu, gdy Aszot akurat stawiał z powrotem krzesło i złapał go za rękę, wykręcając ją boleśnie.

– Co ty wyprawiasz?! – jęknął.

Nie zwracał na niego uwagi. Odwinął jego rękaw. Spojrzał na wyświetlacz zegarka. Otworzył usta w niemym krzyku. Spojrzał na swój zegarek, potem znów na jego, a potem ponownie, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Nie mógł.

– Jar! – warknął Aszot, wrywając rękę. – O co ci chodzi?

– On... – Jar nie mógł z siebie tego wydusić. Przełknął ślinę i wskazał palcem na mrocznego stalkera. – Czas... – wyjąkał.

– Czas na co?

– Po prostu... Czas. To jego tajemnica! Nie rozumiesz?! Potrafi go kontrolować! Potrafi zatrzymywać czas! Spójrz na nasze zegarki. Twój spóźnia się względem mojego o parę sekund! Przecież zsynchronizowaliśmy je wszyscy. Skorpion jest w stanie zamrozić wszystko w promieniu około trzydziestu metrów, ale ja pozostałem poza jego zasięgiem! Dlatego Skorpion znikał i pojawiał się! Dlatego był w stanie rozbroić cię bez problemu i umieścić jednego z naszych w miejscu, które ostrzelaliśmy! Dlatego nie mogłeś zobaczyć tego, jak zagląda ci do kart i manipuluje talią i dlatego mój głos, jako drżenie powietrza, nie mógł dotrzeć do ciebie, bo wokół was czas nie płynął. Z twojej perspektywy to wszystko się nie wydarzyło. Ale ja mogłem to zobaczyć! Mogłem!

Następnie spojrzał oskarżycielsko na Skorpiona. Mroczny stalker zaczął bić brawo.

– Świetnie! – krzyknął uradowany. – To było całkiem sprytne! Udało wam się udowodnić, że panuję nad czasem.

– W dodatku oszukujesz! – Jar wymierzył palec prosto w niego. – Widziałem, jak przekładałeś talię i patrzyłeś do kart twojego przeciwnika! Powiedziałeś, że za oszustwo karą jest przegrana!

– Ależ oczywiście! Ale ja nie oszukiwałem... – mroczny stalker uśmiechnął się figlarnie.

– Co?! – wściekły Jar walnął pięścią w stół, aż ten omal się nie złamał. – Jak śmiesz?! Widziałem cię!

– Oj tam – mruknął zadowolony. – Każdy tak może powiedzieć. Musisz mieć twarde dowody na to, żeby można było uznać, że oszukiwałem. Wtedy dopiero poddam grę. Sam fakt, że mogę kontrolować czas, nie implikuje ostatecznie tego, że użyłem tej umiejętności do oszustwa. Mogłem na w tym *czasie*, a raczej podczas jego braku, iść się wysikać, czy podrapać po tyłku, abyście tego nie widzieli.

– No nie wytrzymam... – wycedził Jar, rozgrzany jak wulkan tuż przed erupcją.

Aszot wciąż wydawał się być rozkojarzony.

– Zatrzymujesz czas? – spytał łagodnie Skorpiona. Ten mu przytaknął.

– Owszem. Doktor dał mi władzę nad anomaliami czasoprzestrzennymi. Tak jak powiedział twój przyjaciel, jestem w stanie zamrozić wszystko w czasie w promieniu około trzydziestu metrów. Wtedy mogę ustawiać wewnątrz tej strefy cokolwiek, tak jak chcę. Mogę na przykład zmienić tor lotu zawieszonych w powietrzu pocisków czy rakiet, po prostu przesuując je w inne miejsce. Z mojej perspektywy wszystko ogarnia absolutny bezruch, natomiast ja mogę swobodnie się przemieszczać.

Głowa Aszota opadła ciężko na piersi, a karty omal nie rozleciały się w jego dłoni. Powtarzał sobie wciąż i wciąż, że to wszystko bez sensu, do niczego nie prowadzi. Po co ten pojedynek na karty? Przecież i tak wszystko się wydarzy według widzimisię Skorpiona. Jak można pokonać kogoś, kto kontroluje jeden z najważniejszych składników rzeczywistości? W każdej chwili byłby w stanie zatrzymać czas, przejść się z nożem w ręce i przeciąć gardło każdemu po kolei. Zanim by się spostrzegli, byłiby martwi.

– Słyszałeś, Jar? – bąknął Aszot, odkładając karty na stół. – Jaki jest w tym sens? Może już lepiej tego nie przeciągać. Niech już zrobi swoje i da nam spokój...

– Oszalałeś? – Stalker zgarnął karty ze stołu i siłą wcisnął je do dłoni Aszota. – Graj! Co masz do stracenia?!

– Po prostu nie uważam, żeby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

– A ja tak uważam! Graj!

– Doprawdy? Jesteście pewni swojego zwycięstwa – roześmiał się Skorpion, rzucając na stół żółtą ósemkę. – Rób, jak chcesz.

Stalker pochylił się nad blatem stołu, opierając swoją ciężką głowę na ręce i wpatrując się w pozostałe mu karty. Nic nie pasowało, a według tego, co mówił Jar, talia również została zmanipulowana przez mrocznego stalkera. Będzie musiał teraz dobrać kolejną kartę, która najpewniej będzie jedną z tych, która nie przyda mu się do niczego i tak

będzie przez cały czas. Natomiast Skorpion w mgnieniu oka pozbędzie się wszystkich, po czym wszyscy skończą w toksycznym bajorze.

Zaschło mu w ustach. Właściwie to już dawno to poczuł, ale wcześniej poświęcił tak wiele uwagi grze, że w końcu o tym zapomniał. Teraz wcale nie poświęcał jej uwagi. Sięgnął po manierkę. Wsunął palce do kieszeni. Oprócz spodziewanego, zimnego dotyku, wyczuł tam coś jeszcze. Coś, czego się nie spodziewał. Jakby kartka. Aszot nie pamiętał, żeby wsadzał do kieszeni jakiegokolwiek podobne śmieci, dlatego zaintrygowany wyciągnął to coś. Jar stojący tuż za nim otworzył szeroko oczy, jednak nie aż tak bardzo, jak Aszot. W kieszeni nie znalazł kartki papieru, ale zdjęcie. Zdjęcie Deliktywy jak z okładki Playboya.

Kiedy? Wtedy, gdy do mnie przybiegła? – zastanawiał się. – No cóż, udało ci się. Mogłbym patrzeć na to godzinami. To najlepszy prezent, jaki mogłem dostać.

Z trudem powstrzymał zbierające się w jego oczach łzy. Pospieszenie zebrał karty i ułożył je w dłoni tak jak przedtem. Skorpion obserwował go zaintrygowany. Wyraz twarzy Aszota zmienił się momentalnie. Jeszcze chwilę temu myślał, że jego oponent nie wykaże już żadnej woli walki. Zaskoczyła go ta zmiana. Chciał wiedzieć, co takiego tam zobaczył Aszot, właściwie to już przygotowywał się do tego, aby znów zatrzymać czas i z ukrycia poobserwować to tajemnicze zdjęcie. Ale nagle fotografia wypadła z dłoni stalkera. Szybując lekko jak piórko, Skorpion wodził za nią wzrokiem, głodny odpowiedzi. Wreszcie ją otrzymał i przerosło to jego oczekiwania. Na widok twarzyczki Deliktywy, na moment zapomniał o całej reszcie. Nachylił się do zdjęcia tak bardzo, że aż okulary słoneczne spadły z powrotem na jego nos.

– Uuu, kto to jest? Czekaj... to... to Deliktywa?! Cholera, pamiętam ją... Widziałem ją na własne oczy w obozie Wolności, kiedy jeszcze do was należałem! Nie sądziłem, że jeszcze ją zobaczę, choćby na zdjęciu. Ale przecież ona nie dopuszczała do siebie nikogo! Skąd masz jej zdjęcie? – Mroczny stalker zachichotał wrednie. – Pewnie ukradłeś, co?

– Nie! – oburzył się Aszot, pospiesznie zgarniając je z ziemi. – Dała mi je!

Skorpion tylko wzruszył ramionami.

– Ty to zawsze lubiłeś pajacować niczym klasowy klaun. Wydawało mi się, że przejawiasz jakąś inteligencję, ale twoje upośledzenie umysłowe właśnie sprawdza zagładę na ciebie oraz twoich towarzyszy. Żałosny obrazek. Lepiej będzie dla ciebie, jeśli znikniesz z tego świata. Po co tak się męczyć? Ale to już nieistotne. Niczym mnie już nie zaskoczysz, nawet swoją głupotą. Twoja tura.

Aszot dobrał kolejną kartę. Skorpion położył delikatnie żółtą kartę *stop*, jakby napawając się tym ruchem. Stalker zagryzł wargę. Z jego dłoni wystawały już trzy karty, a u mrocznego stalkera tylko jedna.

– UNO! – krzyknął z paskudnym uśmieszkiem. – Już po raz drugi, przypominam – ogłosił zwycięsko, spoglądając na pozostałą w jego palcach żółtą piątkę. Jeszcze tylko jeden ruch i wygra całe starcie. Aszotowi pozostały trzy karty. Nawet, gdyby mroczny stalker nie manipulował przy talii, szansa na to, że jego przeciwnik cokolwiek będzie mógł teraz wskórać, była znikoma.

Aszot uśmiechnął się szelmowsko.

– Uno? UNOOO?! – krzyknął obłąkańczo.

Na stole wylądowała druga żółta karta stopu. Skorpion zacisnął zęby. Zmarszczki na czole pogłębiły się znacznie. Aszot wyrzucił kolejno żółtą dwójkę, krzyknął UNO i, jakby wykonując finalne uderzenie, trzasnął ostatnią żółtą siódmką, aż ta odbiła się od blatu i wyleciała w powietrze. Pozbył się wszystkich kart. Tym razem to Skorpion wyglądał tak, jakby zatrzymał się w czasie. Nie mógł tego zrozumieć. Jak to możliwe? Przecież doskonale wiedział, jakie karty miał Aszot. Poustawiał talię tak, aby nie dać mu jakichkolwiek szans.

– Wygrałem! – ogłosił wszem i wobec stalker, zrywając się na proste nogi i unosząc zwycięsko ręce.

Ta wiadomość zatrzęsała mrocznym stalkerem tak bardzo, że odchylił się na krześle, aż spadł wraz z nim na trawę. Nie ruszał się. Jedynie jego nogi od czasu do czasu drgały spazmatycznie jak u rozgniecione go karalucha.

– Jak to możliwe... jaaak? – powtarzał wciąż i wciąż.

– Po prostu! – Nachylił się nad nim Aszot. – Miałem szczęście!

– Ale przecież... Ja widziałem...

– No chyba mi nie powiesz, że Jar miał rację i że zaglądałeś mi do kart! To byłoby jak przyznanie się do oszustwa!

– Ach... racja...

– Ale jedno mogę ci powiedzieć. Kiedy pochyliłeś się nad zdjęciem Deliktywy, mogłem zobaczyć, co trzymasz w ręku.

– Mo-mogłeś?

– Tak, bo te twoje debilne bryle opadły ci z powrotem na nos. Nawet tego nie zauważyłeś, a one odbijały wszystko.

Skorpion, wciąż będący w szoku, jakby wiadomość o jego porażce nie dotarła do niego, zadał jeszcze jedno pytanie:

– Czy to wszystko?

Aszot uśmiechnął się tajemniczo.

– Kto wie... Może. Co ty na to, mroczny stalkerze? Przegrałeś, więc idziesz wykąpać się w bajorze!

Mroczny stalker zwlekł się na brzuch, powstał ostrożnie, otrząsał się i spojrzał wnikliwie prosto w oczy Aszota. Stalker zląkł się nieco. Spodziewał się wybuchu furii, tego, że zaraz wszyscy wraz z nim w jednej chwili padną martwi z podciętym gardłem. Jednak w zamian Skorpion wyciągnął rękę ku niemu. Aszot ostrożnie ją uściskał.

– Wcześniej był to dla mnie duży szok, ale dziękuję – odpowiedział szczerze, pozbywając się z twarzy okularów tak samo jak wcześniejszego, szyderczego tonu. – To była bardzo dobra gra. Dawno się tak nie ubawiłem. Wiem, że oszukiwałeś, podobnie jak ja, ale obaj nie jesteśmy w stanie sobie tego udowodnić, więc to się nie liczy.

– Więc... Co teraz? – spytał niepewnie Aszot.

Skorpion uśmiechnął się rozbawiony.

– Jak to co? Idę popływać.

– Serio?! Przecież podobno nie możesz się zabić! Wcześniej o tym mówiłeś. Monolit założył ci jakąś blokadę.

– Przegrałem, to przegrałem – wyjaśnił, wzruszając ramionami. – Gdy tak się dzieje, mroczny stalker, aby chronić wszelkie tajemnice swojego ciała, może zdecydować się na autodestrukcję. Ja skorzystam z tej *furtki*. Nie mogłem ci dawać forów, dlatego zdecydowałem się na oszukiwanie i dopiero, gdy byłem pewien zwycięstwa, odpuściłem. A ty mnie załatwiłeś tak nagle. Wygrałeś.

Puścił jego rękę i wręczył zaskoczonemu stalkerowi swoje okulary przeciwsłoneczne. Odwrócił się od pozostałych i zaczął iść w kierunku jeziora. Pomachał ku nim na pożegnanie.

– Możesz zatrzymać moją talię! Mam szczerą nadzieję, że po śmierci trafię do jakiegoś niebiańskiego kasyna. Tam jest moje miejsce. Wreszcie będę mógł odpocząć. Bawcie się dobrze i żegnajcie.

– Polipius cię pozdrawia! – krzyknął Aszot.

Skorpion obejrzał się na nich. Nie był w stanie ukryć zaskoczenia.

– Polipius, a co z nim?

– Jest po naszej stronie! Odzyskał władzę nad własnym życiem!

Mroczny stalker roześmiał się głośno, nie przestając iść w stronę swojej własnej zguby.

– Przynajmniej jemu się udało. Całe szczęście...

Wszyscy stalkerzy podążali za nim wzrokiem. Mroczny stalker w końcu stanął po kostki w brudnej wodzie. Trujące opary unoszące się nad taflą jeziora już zdążyłyby zabić normalnego człowieka, jednak on szedł przed siebie, przedzierając się dalej, wprost do anomalii chemicznej. Otulona jadowicie zieloną mgłą sylwetka w zetknięciu z toksyczną, anomalną energią, zaczęła się błyskawicznie topić. Skóra lała się z białych kości. Mroczny stalker kurczył się, aż całkiem zniknął, stając się jednością z mętnymi wodami bajora. Aszot zadrżał na ten widok. Jar pokręcił głową i położył dłoń na jego ramieniu.

– Opowiedz mi, jak ci się udało go ograć, bo nawet ja niczego nie zauważyłem.

Aszot usiadł na trawie, wciąż patrząc na nieruchome wody bajora.

– Zmyliłem go tak samo jak ciebie. – Wyciągnął zdjęcie Deliktywy i pokazał do światła. – Każdy iluzjonista wie, że podstawą przy sztuczkach z kartami jest odwrócenie uwagi. Udałem, że przypadkiem upuściłem to zdjęcie. Deliktywa jest piękną kobietą, więc byłem pewien, że go zainteresuje, choćby na chwilę. Wtedy po prostu zmieniłem karty w talii oraz mojej ręce tak, aby wygrać. Miałem mało czasu, ale udało się. Już ci to mówiłem, jestem najlepszym szulerem w Zonie. Mam doświadczenie – opowiadał monotonnym głosem, pozbawionym radości z wygranej. – Ale prawdziwe piękno Deliktywy nie wynika z jej buzi, figury, tyłka czy dużych piersi.

– Och – zmieszał się lekko Jar. – Gdyby nie ona, to byłoby po nas.

– Tak. Za to jest już po nim.

– Chyba nie będziesz płakać z jego powodu? Przecież mógł nas wszystkich zabić. Wybił połowę oddziału.

– Ale Jar! – spojrzał na niego błyszczącymi oczami. – Nie rozumiesz? On był taki jak my. Monolit go dorwał, uwięził w jego własnym cieple, pozbawiając go wolnej woli i zmuszając do tego wszystkiego, czego nie chciał robić. Każdy z nas mógłby być na jego miejscu.

Jar westchnął ciężko.

– Być może. Ale powinniśmy wracać do Lokiego. Misja wykonana, dzięki tobie.

Podał mu pomocną dłoń, a Aszot wstał na równe nogi.

– Pewnie Deliktywy już nie ma, co?

– Zapewne nie – odparł Jar.

Aszot spojrzał na jej zdjęcie. Przytulił je do piersi.

– Szkoda. Wielka szkoda.

[Rozdział 13 – Siostra i Brat, część 1](#)

[Rozdział 13 – Siostra i Brat, część 2](#)

[Rozdział 15 – Spełniacz Życzeń, część 1](#)